



Jackie Braun



Barwne życie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedząc w elegancko urządzonej recepcji Windy City Industries, Morgan Stevens zacisnęła dłoń na oparciu fotela.

Oddychaj, powiedziała do siebie. Wdech, wydech, wdech, wydech. Bolesne skurcze zaczęły ustępować, kiedy do pokoju wróciła sekretarka.

Według tabliczki stojącej na biurku miała na imię Britney. Była to młoda atrakcyjna kobieta o figurze modelki, ubrana w doskonale skrojony czarny kostium, wzorzystą jedwabną bluzkę oraz buty na niebotycznych obcasach. W porównaniu z nią Morgan w pastelowej sukience ciężowej i rozkładanych sandałach, jedynych butach, w których mieściły się jej spuchnięte stopy, czuła się jak Kopciuszek.

- Przykro mi, pan Caliborn jest zajęty i nie może pani przyjąć - oznajmiła z fałszywym uśmiechem piękna Britney. - Następnym razem proszę zadzwonić i umówić się na spotkanie.

Żeby wyszedł z biura, zanim ona tu dotrze? Nic z tego! Od miesiący usiłowała skontaktować się z Bryanem Calibornem. Położyła rękę na swoim wystającym brzuchu. Tylko raz otrzymała odpowiedź, i to od prawnika: że pan Caliborn stanowczo zaprzecza, jakoby był ojcem jej dziecka. Twierdzi wręcz, że nigdy jej na oczy nie widział. I jeżeli ona dalej będzie go nękać, poda ją do sądu.

Była wściekła i upokorzona. Jeśli nie chce mieć do czynienia ze swoim dzieckiem, w porządku. Może to zwyczajnie powiedzieć. Ale twierdzić, że nigdy się nie spotkali? Nie przypuszczała, że Bryan jest tak bezwzględny i nieczułym draniem. W dodatku pozbawionym wyobraźni: przecież wystarczy badanie DNA...

Wstała niezdarnie z fotela i obdarzyła sekretarkę równie fałszywym uśmiechem.

- W takim razie proszę mnie zapisać na najbliższy wolny termin.

- Zaraz sprawdzę w kalendarzu...

Morgan skinęła głową. Nie zamierzała się wyklócać, bo to by nic nie dało. Po prostu skierowała się do drzwi, z których przed chwilą Britney się wyłoniła.

Podejrzewała, że za nimi znajduje się gabinet Bryana. Niestety pomyliła się. Jej oczom ukazała się sala konferencyjna pełna mężczyzn w garniturach, którzy siedzieli

wokół podłużnego drewnianego stołu. Przed każdym z nich leżała otwarta teczka, ale nikt nie patrzył na wykresy czy diagramy. Wszyscy gapili się na Morgan. Ona zaś wpatrywała się w mężczyznę na końcu sali.

Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Miał czarne włosy, ciemne oczy, wydatne kości policzkowe, gęste brwi, w tym momencie dość nastroszone, pełne wargi i nos, który dzięki lekkiemu zakrzywieniu nadawał twarzy surowy i posepny wyraz.

Przełknęła ślinę. Mężczyzna siedział, wiedziała jednak, że jest wysoki i doskonale umięśniony. Śniadzi bruneci nigdy nie byli w jej typie, ale ten zdecydowanie przykuwał uwagę. Pewnie dlatego, tłumaczyła sobie, że wygląda jakoś znajomo.

Po chwili panującą w sali ciszę przerwał jego głos.

- Kim pani jest?

- Przepraszam...

Cofając się, Morgan wpadła na sekretarkę, która chwyciła ją za łokieć i zaczęła prowadzić do drzwi. Jej zachowanie zezłościło Morgan.

- Szukam Bryana Caliborna. To pilne. Liczyłam, że go tu zastanę.

- Zastała pani. - Mężczyzna na końcu sali odsunął krzesło od stołu i wstał. Wszystkie pary oczu skierowały się na niego. Miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, emanował siłą. - To ja.

- Nie. - Morgan pokręciła głową, pewna, że się przesłyszała. - Pan nie jest...

Nie dokończyła zdania, bo poczuła skurcz. Na lśniącej drewnianej podłodze utworzyła się kałuża. Britney puściła łokieć Morgan i odskoczyła, próbując ratować drogie buty. Mężczyźni przy stole wciągnęli z sykiem powietrze i odsunęli się na krzesłach, jakby Morgan cierpiała na jakąś zakaźną chorobę. Tylko ten, który twierdził, że jest Bryanem, podszedł do niej, mruczając coś pod nosem.

- Przepraszam - szepnęła.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Wyszłaby, uciekła jak najdalej, chociaż biegać w swoim stanie za bardzo nie mogła, ale znów dostała skurczów. Odwróciła się, licząc na to, że może zdoła doczłapać się do recepcji i tam poczekać w fotelu, aż najgorsze minie. Zrobiła jeden krok, drugi, po czym prawą ręką złapała za drzwi, by nie upaść, lewą zaś usiłowała podtrzymać brzuch.

- Britney, dzwoń po karetkę! - powiedział Bryan Caliborn, po czym popatrzył na Morgan. - Zaczął się poród?

Miała wrażenie, jakby coś ją rozdzierało od wewnątrz. Przeczytała wiele książek o porodzie, chodziła do szkoły rodzenia, ale nie przypuszczała, że to może tak strasznie boleć. Skinęła w milczeniu głową. Bała się, że jeśli otworzy usta, zacznie wyc.

Chciała usiąść. Chciała dostać leki przeciwbólowe, o których mówiono w szkole rodzenia. Chciała mieć przy sobie matkę. Tylko jedna z tych rzeczy była możliwa. Zanim jednak Morgan zdołała osunąć się na podłogę, Bryan Caliborn pochwycił ją w ramiona i przeniósł do sąsiedniego pokoju, w którym mieścił się jego gabinet.

Położył Morgan na skórzanej kanapie i znikł; po chwili wrócił ze zwiniętym prochowcem i szklanką wody. Płaszcz wetknął jej pod głowę, a szklankę podsunął do ust. Nie miała ochoty pić, lecz wzięła szklankę do ręki i udała, że pociąga łyk. Groźna mina mężczyzny świadczyła o tym, że nie przywykł do nieposłuszeństwa.

Zazwyczaj Morgan nie była tak uległa, ale dziś nie czuła się na siłach, żeby się buntować.

- Karetka już jedzie - rzekła sekretarka, zaglądając do pokoju.

- Nie potrzebuję karetki - odezwała się Morgan.

Tydzień temu na skutek cięć budżetowych straciła pracę w szkole, co oznaczało również utratę ubezpieczenia zdrowotnego.

Najgorsze skurcze minęły. Usiadła na kanapie i opuściła nogi. Zamierzała wstać, przeprosić za zamieszanie i wyjść. Samochód zostawiła na pobliskim parkingu; za dwadzieścia minut, jeśli samochód nie nawali, powinna dotrzeć do szpitala Northwestern Memorial.

Caliborn rzucił się w jej kierunku, ale to nie on ją powstrzymał; powstrzymało ją zdjęcie wiszące na ścianie na prawo od drzwi. Przedstawiało dwóch mężczyzn: posepnego bruneta oraz uśmiechniętego blondyna.

Morgan zamrugała. Znała to wesołe spojrzenie, te rozczochrane ciemnoblond włosy, tę zadziorną minę. Właśnie z tym człowiekiem spędziła siedem cudownych beztrojskich dni na Arubie. Bryan.

Musiała powiedzieć imię na głos, bo nagle spostrzegła, że mężczyzna, którego wcześniej wzięła za Bryana i który również wpatrywał się w zdjęcie, zacisnął mocno wargi.

- Zna go pan! - rzekła, wskazując na ścianę. - Zna pan Bryana Caliborna.

- Powtarzam pani, że ja jestem Bryanem. A tamten to mój młodszy brat Dillon.

Dillon... Brat... Pokręciła z niedowierzaniem głową. Z jednej strony chciała zaprzeczyć, zawołać, że to nieprawda, ale miała przed oczami żywy dowód.

Bryan, a raczej Dillon, ojciec jej nienarodzonego dziecka, podał jej nie swoje imię. Nie jest to informacja, jaką pragnie usłyszeć kobieta, którą od macierzyństwa dzieli zaledwie kilka skurczów. Ciekawe, w czym ją jeszcze okłamał?

- Chcę się z nim zobaczyć - oznajmiła tonem srogiej nauczycielki. - Tylko proszę mi nie mówić, że muszę zadzwonić i uzgodnić termin spotkania. Jak pan widzi, nie mogę czekać tygodnia. Ani nawet dnia.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - odparł prawdziwy Bryan, a ona otworzyła usta. Co za bezczelny typ! Zanim jednak zdołała wyrazić swoją opinię, dodał cicho: - Dillon nie żyje.

Złość z niej wyparowała, ustępując miejsca zdumieniu, konsternacji i paru innym emocjom. Czując, jak nogi się pod nią uginają, cofnęła się krok i ponownie osunęła na kanapę.

- Nie żyje? Ale jak...? Co? Kiedy? - Nie była w stanie powstrzymać lawiny pytań, chociaż odpowiedzi nie miały teraz żadnego znaczenia.

Będzie samotną matką, a jej dziecko nigdy nie pozna ojca. Z trudem powstrzymała mdłości. Właściwie sama też prawie go nie знаła.

- Pół roku temu. W Vail w Kolorado. Wypadek na nartach - usłyszała.

- Nic nie wiedziałam...

- Ja też nie. - Mężczyzna popatrzył na jej wydatny brzuch. - Gdzie się poznaliście? Pani i mój brat?

- Na Arubie. W sierpniu.

Pojechała tam sama, wykorzystując bilety, które kupiła rodzicom na trzydziestą rocznicę ich ślubu. Nigdy nie byli w podróży poślubnej; chciała sprawić im nie-

spodziankę. Nie doczekali jednak rocznicy; zginęli w domu na skutek zezadzenia. I chyba rozpacz po stracie rodziców sprawiła, że Morgan, osoba rozsądna, twardo stąpająca po ziemi, uległa wdziękom Bryana-Dillona. Po prostu czuła się nieszczęśliwa i bardzo samotna. On zaś był czarujący, pozwalał zapomnieć o ponurej rzeczywistości.

- I tam... się zaprzyjaźniliście? - Bryan Caliborn ponownie utkwiał wzrok w jej brzuchu.

- Tak.

Czuła się dziwnie. Niezręcznie. Wstała, chcąc jak najszybciej opuścić ten budynek. Jednakże poza szpitalem nie bardzo miała dokąd się udać. Była sama w obcym mieście, bez pracy, bez domu, bez rodziny.

Nagle do pokoju wpadli, pchając przed sobą nosze, lekarz z sanitariuszem.

- To naprawdę nie jest konieczne - zaprotestowała Morgan. - Sama dojadę do szpitala. Skurcze wcale jeszcze nie są tak częste.

Ledwo to powiedziała, zaczął się następny. Psiakość, ile minut minęło od ostatniego? Bała się spojrzeć na zegarek.

- Karetką będzie szybciej i bezpieczniej - oznajmił Bryan. - Zakładając, że pani nie kłamie, to dziecko jest Calibornem.

- Zakładając, że...

Zacisnęła zęby, bynajmniej nie z powodu skurczu. Wściekła wymaszerowałyby z pokoju, gdyby nie lekarz, dobrotliwie wyglądający szpakowaty pan z bujnymi wąsami, który położył rękę na jej ramieniu.

- Może najpierw panią zbadam? Chyba nie chce pani rodzić, tkwiąc w korku na Michigan Avenue?

Przypominał jej ojca; tylko dlatego wróciła posłusznie na kanapę. Kiedy usiadła, klęknął przed nią i wyciągnął z torby ciśnieniomierz. Czekając, aż rękaw napęłni się powietrzem, Morgan zerknęła na Bryana. Przyglądał się jej z kamienną miną. Ciekawe, o czym myślał?

Niech szlag trafi Dillona! Za jego brak odpowiedzialności! Za to, że nie żyje!

Miał ochotę przylać bratu, przygwoździć go do ziemi, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi, i nabić mu rozumu do głowy. Ale nie mógł. Świadomość tego faktu rozjątrzyła

ranę, która dopiero niedawno zaczęła się goić. Dlaczego Dillon musiał zginąć? Dlaczego?

Wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że brat nie żyje, że leży z dziadkami i stryjeczną babką w grobie rodzinnym na cmentarzu Winchester Memorial. Jak to możliwe, że człowiek tak pełen życia umiera? Czasem Bryan wyobrażał sobie, że Dillon po prostu wyruszył na kolejną szaloną eskapadę...

Pieniądze ze swojego funduszu powierniczego wydał w całości, zanim ukończył trzydzieści lat. Bryan był wściekły, kiedy zatelefonowano do niego z banku, by potwierdził stan konta. Okazało się, że Dillon pożyczył sobie jego kartę kredytową; oczywiście spał wyłącznie w najdroższych hotelach, gdzie apartament kosztował kilka tysięcy za noc, i jadał w najlepszych restauracjach. Bryan zadzwonił do lekkoducha i nagrał mu się na sekretarkę.

- Dorośnij, człowieku! Na miłość boską, skończyłeś trzydziestkę. Czeka tu na ciebie praca. Zaczynj zarabiać! Przestań żerować na mnie! Jak jeszcze raz posłużysz się moją kartą, to przysięgam: zawiadomię policję!

Oczywiście nie zrobiliby tego, ale tamtego dnia kipiał furia.

Popatrzył na ładną wystraszoną kobietę na kanapie, która, skręcając się z bólu, odpowiadała na pytania lekarza. Proszę, kolejny przykład nieodpowiedzialnego zachowania Dilla. Jak zwykle on, Bryan, będzie musiał zaradzić problemom, „posprzątać” po bracie. Całe życie to robił. Najwyraźniej śmierć Dilla niczego tu nie zmieniła.

Potał ręką oczy. Akurat ten problem będzie trudniej rozwiązać niż inne. Oczywiście jeśli Morgan nie kłamie, czego nie można wykluczyć, zważywszy na majątek Calibornów. Pewnie liczy na pokaźny zastrzyk gotówki. Niestety srodze się zawiedzie: konto Dillona świeciło pustkami. Potwierdzenie ojcostwa...

W grę wchodzi badanie DNA, ale ojciec dziecka nie żyje. Wprawdzie pokrewieństwo można również ustalić na podstawie DNA Bryana, lecz... hm, raz mu wystarczyło; na powtórkę nie miał ochoty.

Dziwne, bo Morgan Stevens nie była w typie Dilla. Zwykle brat spotykał się z seksownymi długonogimi blondynkami, z obdarzonymi dużym biustem brunetkami, z ponętymi rudzielcami, z kobietami, które o współczesnym świecie wiedziały tyle, ile

zdołały wyczytać w brukowcach, czekając w kolejce u fryzjera. Jedna z panienek, które Dillon zaprosił do domu, sądziła, że Austria to skrót od Australii.

Morgan zaś, sądząc po jej listach i wiadomościach, które nagrywała na sekretarkę, sprawiała wrażenie osoby elokwentnej i inteligentnej. Ubierała się konserwatywnie i nie wyglądała jak dziewczyna z „Playboya”.

Więc co takiego Dillon w niej widział?

Nie musiał się zastanawiać, co ona widziała w Dillonie. Brat był przystojnym i niezwykle czarującym mężczyzną, który uwielbiał szastać pieniędzmi - oczywiście cudzymi, bo swoje dawno wydał.

Tak, Morgan Stevens chodziło o majątek Dilla.

Rockmani to nie jedyni faceci, którzy nie mogą opędzić się od kobiet. Mężczyźni mający pieniądze i władzę również cieszą się powodzeniem, tyle że ich wielbicielkom bardziej niż na seksie zależy na obrączce i możliwości robienia zakupów w ekskluzywnym Bergdorf Goldman.

Pomyślał o swojej byłej: wyszła za mąż za Teksasńczyka, właściciela pól naftowych, któremu - pod względem finansowym - Calibornowie nie dorastali do pięt. Urodziła nafcierzowi syna, którego Bryan naiwnie, przez pewien czas, uważał za swoje dziecko.

Potem wybuchł skandal, o którym miesiącami mówiło całe Chicago. Wyniki badań DNA przeciekły do prasy, zanim jeszcze Bryan miał okazję je poznać. Dziennikarze szaleli. Nie chciał znów stać się pożywką dla plotek.

Dochodzący z kanapy jęk bólu wyrwał go z zadumy. Popatrzył na ciężarną kobietę. Usta miała otwarte, oczy zamknięte, twarz mokrą od potu. Dyszała coraz głośniejsze.

- Chyba... chyba nie dam rady - szepnęła przerażona.

W biznesie okazywanie słabości uważał za wadę, ale w wypadku Morgan... Ogarnęło go wzruszenie. Miał ochotę do niej podejść, pocieszyć ją, pogłodzić po policzku, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Zamiast tego oparł się o biurko i skrzyżował ręce na piersi.

- Da pani - powiedział lekarz. - A teraz proszę się położyć. Muszę sprawdzić, jakie jest rozwarście.

To otrzeźwiło Bryana. Nie był żadnym specjalistą od porodów, ale wiedział, co znaczą te słowa. Czym prędzej skierował się na zewnątrz.

- Poczekam w recepcji.

Zaczął wydeptywać ścieżkę w podłodze. Był przyzwyczajony do tego, że nad wszystkim zawsze panuje. Teraz jednak nie wiedział, co ma począć. Zadzwoić do rodziców, którzy spędzali urlop za granicą, i powiedzieć im... No właśnie, co? Gratuluję, wkrótce zostaniecie dziadkami?

Julia i Hugh Calibornowie ciężko przeżyli wypadek syna. Śmierć dziecka, bez względu na jego wiek, nie powinna mieć miejsca; burzy naturalny porządek rzeczy. Bo to nie rodzice powinni chować dzieci, lecz dzieci rodziców.

Bryan wyobraził sobie reakcję matki: będzie niesamowicie przejęta i uradowana. Dziecko spłodzone przez Dillona! Oczywiście otoczy malucha miłością, zapewni mu, a zatem i Morgan, życie w luksusie. Tak samo postąpiła z jego byłą żoną, która ich wszystkich okłamała. Cztery miesiące przed narodzinami pierwszego wnuka Julia Caliborn przerobiła jeden z pokoi gościnnych na pokój dla dziecka, po czym wydała przyjęcie na cześć przyszłej mamy, kupując wszystko, co pozostało na sporządzonej przez nią liście prezentów. Roniąc łzy szczęścia, prawie nie wychodziła ze szpitala. Półtora roku później, kiedy okazało się, że Caden Alexander Caliborn wcale nie jest Calibornem, zrozpaczona wylała kolejne wiadro łez.

Zacisnął pięści. Dopóki nie nabierze pewności, że Morgan Stevens mówi prawdę, musi chronić rodziców. A zatem wiadomość o dziecku Dilla nie może dotrzeć do ich uszu ani przeciec do prasy.

- Britney - zwrócił się do sekretarki - proszę nikomu nie mówić słowa o tym, co się dziś stało. Gdyby ktokolwiek pytał, kim jest ta młoda kobieta i po co tu przyszła, kieruj go do mnie. Czy to jasne?

- Jak słońce, szefie. Pan wie, że spełnię każde jego życzenie. - Uśmiechnęła się trochę zbyt zalotnie, ale zignorował to. Pod każdym innym względem była świetnym lojalnym pracownikiem. Liczył na to, że wkrótce minie jej zauroczenie jego osobą.

Odwrócił się. Sanitariusz pchał nosze, na których leżała Morgan. Głowę miała lekko uniesioną, twarz bladą jak ściana.

- Jedzie pan z nami? - spytał lekarz. - Mamy miejsce w karetce, jeśli chce pan towarzyszyć żonie.

Żonie? Słyszał, jak Britney wciąga z sykiem powietrze. Tak, tę plotkę należy szybko sprostować.

- To nie jest moja żona - warknął.

Spojrzał na palec serdeczny, który kiedyś zdobiła złota obrączka. Dla niego był to symbol miłości i wierności. Nieodwzajemnionej miłości i wierności, jak się przekonał, gdy Camilla poprosiła go o rozwód.

Nie wiadomo, co lekarz pomyślał, ale niczego nie dał po sobie poznać.

- Może więc skontaktuje się pan z jej rodziną? Przypuszczalnie będzie to szybki poród, ale pani Stevens przyda się wsparcie i pomoc kogoś bliskiego.

Skinąwszy głową, Bryan popatrzył na Morgan i spytał znacznie łagodniejszym tonem:

- Do kogo zadzwonić?

- Do nikogo - szepnęła, nie otwierając oczu.

- Może do rodziców? Proszę mi podać ich numer, Britney spróbuje ich złapać. Na pewno będą chcieli wiedzieć o narodzinach wnuka.

W kącikach jej oczu pojawiły się łzy; po chwili spłynęły po skroniach. Bryan poczuł dziwny ucisk w piersi. Zanim zorientował się, co robi, wyciągnął rękę i osuszył palcem mokry ślad.

Jego dotyk sprawił, że Morgan uniosła powieki. Miała intensywnie zielone oczy. Wyglądały jak dwa lśniące szmaragdy.

- Pani rodzice... - zaczął ochryple Bryan.

- Nie...

- Jak się z nimi skontaktować?

- Odeszli. - Głos się jej załamał. - Nie mam nikogo.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siedem godzin później Bryan nadal krążył po poczekalni. Pijąc kawę z plastikowego kubka, spoglądał na zegar. Minęła szósta, lecz Morgan wciąż nie urodziła. A przecież miał to być „szybki” poród.

Gdyby ktoś go spytał, co robi w szpitalu, chyba nie umiałby odpowiedzieć. Do pewnego stopnia kierowało nim poczucie obowiązku: ze względu na brata - zakładając, że Morgan nie kłamała, kto jest ojcem dziecka - chciał wszystkiego dopilnować.

Ledwo nosze z Morgan znikły w windzie, polecił Britney, aby odwołała wszystkie popołudniowe spotkania, po czym wsiadł do swojego lexusa i bijąc rekordy prędkości, przybył do szpitala. Przez całą drogę miał przed oczami wykrzywioną z bólu twarz Morgan oraz wyraz strachu w jej oczach.

Potrzebowała bratniej duszy, a nie miała nikogo. Był tylko on. Dopiewszy kawę, cisnął kubek do kosza. Gdyby wiedział, że poród będzie trwał tyle godzin, zostałby chwilę dłużej w firmie, a przynajmniej zabrałby z sobą laptopa. Miał mnóstwo pracy.

- Pan Caliborn?

Na dźwięk swojego nazwiska obrócił się. W drzwiach stała pielęgniarka. Po jej wargach błąkał się uśmiech, co Bryan przyjął za dobry znak. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Pani Stevens urodziła syna.

Kolejny chłopiec. Czy w żyłach malca na pewno płynie krew Calibornów? Na razie starał się o tym nie myśleć.

- Czy... wszystko jest w porządku? - spytał.

- Tak. Dziecko jest zdrowe. Waży trzy i pół kilograma.

- A Morgan?

- Czuje się dobrze, zważywszy na dość trudny poród.

Przez moment lekarz się wahał, czy nie wykonać cesarskiego cięcia, ale w końcu udało się bez tego.

Nie wiedział, co powiedzieć, a nieczęsto mu się to zdarzało, więc jedynie skinął głową. Następnie sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Jeśli się pośpieszy,

może złapie kilku kierowników działów, zanim ci opuszczą biuro, i omówi z nimi plany ekspansji firmy na rynkach zagranicznych. W trakcie wkładania marynarki naszły go jednak wątpliwości. Ma zostawić Morgan samą?

- Przepraszam! - zawołał za pielęgniarką. - Wiem, że jest późno, ale... czy mógłbym zobaczyć dziecko?

Niczego więcej nie chciał, tylko rzucić okiem na chłopca, którego może Dillon spłodził i który będzie jedynym spadkobiercą fortuny Calibornów. Bo on, Bryan, nie zamierzał więcej się żenić ani mieć dzieci.

- Chyba to się da załatwić - odparła z uśmiechem pielęgniarka. - Proszę zaczekać.

Sądził, że zajrzy przez szybę do sali noworodków, ale to nie było takie proste. Niemowlę, wyjaśniła trzy kwadranse później pielęgniarka, prowadząc go korytarzem do pokoju Morgan, przebywało razem z matką.

- Proszę nie siedzieć zbyt długo. Pani Stevens powinna odpocząć.

Pukając cicho do drzwi, nerwowo zastanawiał się, co ma powiedzieć. W świecie biznesu poruszał się swobodnie, ale na gruncie prywatnym zawsze czuł się spięty, gdy rozmawiał z obcymi. W tym celował Dill.

Czekał, aż Morgan pozwoli mu wejść. Nagle drzwi się otworzyły i na wprost siebie Bryan ujrzał mężczyznę o zamglonym wzroku i ckliwym uśmiechu.

- Proszę - powiedział, wciskając Bryanowi do ręki tanie cygaro owinięte celofanem.

Biorąc pod uwagę pognieciony zielony fartuch, który miał na sobie, mężczyzna musiał być w szpitalu od wielu godzin. Czyli Morgan pięknie zagrała rolę biednej sieroty. Należy jej się Oscar. Zły, że znów dał się nabrać, Bryan okręcił się na pięcie.

- Niech pan poczeka! - Mężczyzna w fartuchu chwycił go za ramię. - Pewnie przyszedł pan do tej drugiej mamy?

Drugiej mamy? Bryan zerknął do pokoju. Na pierwszym łóżku leżała brunetka trzymająca owinięte w kocyk niemowlę. Drugie łóżko było niewidoczne za parawanem.

- Może wrócę później - rzekł Bryan.

Już i tak czuł się niezręcznie, a teraz miałby rozmawiać z Morgan przy innych?

- Nie, niech pan wejdzie. - Mężczyzna pociągnął Bryana w stronę pokoju i ściszywszy głos, dodał: - Przyda się biduli towarzystwo. Pielęgniarka mówiła, że nikt jej nie towarzyszył podczas porodu; zdaje się nie ma też męża... Pan nie jest ojcem?

- Nie.

Bryan wszedł do sali i zajął miejsce przy parawan. Morgan leżała z zamkniętymi oczami. Korzystając z okazji, że śpi, przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Sklejone włosy, czerwone plamy na twarzy... widać było, że poród ją wymęczył. W dodatku nikt jej nie trzymał za rękę, nie mówił, że wszystko będzie dobrze. Ogarnęło go... nie, to nie były wyrzuty sumienia. Nie miał powodu czuć wyrzutów. Czuł... Hm, podziw? Chyba tak. Morgan Stevens wykazała ogromną siłę charakteru, kiedy rano wparowała do sali konferencyjnej. Dziwne, ale miał ochotę wyciągnąć rękę, pogłaskać ją po policzku, pocieszyć.

Zza parawanu dobiegła go cicha rozmowa. Chociaż nie rozróżniał poszczególnych słów, w głosach małżonków słyszał wzruszającą tkliwość. Wchodząc do pokoju, zauważył stojący przy łóżku kobiety bukiet kwiatów oraz unoszący się pod sufitem balon z napisem „Gratulacje”. Pamiętał, że kiedy Camilla urodziła Cadena, on nie tylko wykupił wszystkie kwiaty w szpitalnej kwiaciarni, ale również obsypał żonę biżuterią. Wśród innych drobiazgów był wisiołek z brylantem oraz brylantowe kolczyki.

Część pokoju zajmowana przez Morgan wyglądała sterylnie. Nie było tu żadnych kwiatów ani baloników. Nie było mężczyzny szepczącego ciche słówka. Nie było drogich prezentów ofiarowanych przez dumnego tatusia. Bryan przełknął ślinę. Usiłował sobie wyobrazić Dilla w roli ojca, w roli człowieka odpowiedzialnego za swoją rodzinę. Nie potrafił.

Co takiego Dillon powiedział, kiedy usłyszał, że starszy brat z żoną spodziewają się dziecka? Najpierw im pogratulował, a potem dodał: „Lepiej żebyś ty miał dziecko niż ja”. Co za ironia losu.

Z łóżeczka dla niemowląt rozległ się dźwięk bardziej przypominający miauczenie kota niż płacz dziecka. Mimo zmęczenia porodem Morgan natychmiast otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Jestem, kochanie - szepnęła, siadając niezdarnie na brzegu łóżka. - Mamusia jest tuż obok.

I nagle spostrzegła Bryana. Odchrząknął, jakby zamierzał przeprosić ją za najście. Zamiast tego powiedział:

- Cześć.

- Cześć. Nie zauważyłam, kiedy przyszedłeś. Musiałam się zdrzemnąć. - Usiłowała przeczesać ręką włosy.

- Gdybym wiedział, że śpisz, to nie... - Wzruszył ramionami. - Chciałem zobaczyć dziecko. Niczego ci nie potrzeba?

- Nie, chociaż... Przydałaby mi się walizka, którą przygotowałam sobie do szpitala.

- Uśmiechnęła się. - Przynajmniej miałabym się czym uczesać.

- Gdzie ona jest? Poproszę, żeby ktoś ci ją dostarczył.

Kiedy podała nazwę hotelu, Bryan odruchowo wykrzywił wargi.

- Widzę, że nie odpowiada twoim wysokim standardom - oznajmiła kwaśno.

Zdecydowanie. To była tania noclegownia. Nie powiedział tego na głos, chociaż na myśl o tym, że Morgan miałyby tam zamieszkać z małym bezbronnym dzieckiem, zrobiło mu się słabo.

- Z samego rana Britney podrzuci ci walizkę.

- Dziękuję. To chcesz zobaczyć małego? - spytała, kiedy cofnął się krok.

Po to tu przyszedł. A jednak zawahał się; bardziej bał się tego, czego może nie dojrzeć, niż tego, co zobaczy.

Dziecko leżało na wznak. Pamiętał, że kiedy Caden się urodził, lekarze mówili, że ta pozycja zapobiega zespołowi nagłego zgonu. Potem, gdy synek nauczył się przewracać na brzuch, on budził się kilka razy w nocy i wstawał sprawdzić, czy mały oddycha.

- Ma włoski - rzekła Morgan.

Spod czapeczki wystawało kilka ciemnych kosmyków. Oczy, niebieskie jak u wszystkich noworodków, były szeroko otwarte. Wyglądało to tak, jakby maluch uważnie przyglądał się mężczyźnie. Po chwili uniósł kącik ust i uśmiechnął się.

Bryan był w szoku. Miał wrażenie, że patrzy na Dillona. Nie chodziło o żaden jeden element twarzy, ale o całość. Po prostu wszystko razem składało się na Dilla. Wstrzymał oddech; nie był pewien, czy wyobraźnia nie płata mi psikusa. Już kiedyś tak

było. Widział podobieństwo między sobą a Cadenem; później okazało się, że Caden nie jest jego synem.

- Już wiesz, jak się będzie nazywał?

- Brice Dillon Stevens - odparła Morgan.

Skinął głową; nie zdziwiło go, że na drugie dała dziecku imię Dillona. Natomiast ciekaw był, dlaczego wolą pozostać przy nazwisku Stevens. Może wie, że chłopiec nie jest Calibornem? Oczywiście Camilla też wiedziała, ale to jej w niczym nie przeszkodziło. Prawdę na temat ojcostwa wygarnęła mu dopiero pod sam koniec małżeństwa. Wcześniej potrzebowała czasu, aby przekonać potentata naftowego, że to on jest biologicznym ojcem dziecka.

- Pewnie w akcie urodzenia jako ojca podałaś mojego brata?

- Tak. Masz coś przeciwko temu? - spytała ostrym tonem, który zadawał kłam jej łagodnej powierzchowności. W ohydnej szpitalnej koszuli wyglądała młodo i niewinnie, ale widać było, że dziecka będzie bronić jak lwica.

Zignorował to pytanie.

- Pójdę już. Musisz odpocząć. - Zanim jednak wykonał krok w stronę drzwi, wyjął z portfela wizytówkę i wręczył ją młodej mamie. - Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, to dzwoń. Z tyłu widnieje mój numer prywatny.

- Dziękuję, nie będę dzwonić. - Popatrzyła na dziecko i jej spojrzenie złagodniało. - Ja... Poradzimy sobie.

Po wyjściu Bryana lęki i wątpliwości, jakie dręczyły ją od paru miesięcy, wróciły ze zdwojoną siłą. Jej optymizm i determinacja topniały w zastraszającym tempie.

„Poradzimy sobie”. Czyżby?

Co jej do głowy strzeliło, aby jechać w ciemno do miasta, którego nie zna? Takie zachowanie było nie w jej stylu. Oczywiście tygodniowy romans zakończony ciążą też nie był w jej stylu. Gdzie będzie mieszkać? Gdzie pracować? Jak zarabiać na życie?

Jadąc do Chicago, nie liczyła na to, że Bryan... to znaczy Dillon wesprze ją finansowo, chociaż należały jej się alimenty. W głębi duszy miała jedynie nadzieję, że dołoży się do rachunku za szpital. Nie zamierzała Dillona do niczego zmuszać; niech sam zdecyduje, na ile chce się zaangażować w życie syna. Nie potrzebowała niczyjej łaski. Miała

trochę własnych oszczędności, które dostała w spadku po rodzicach. Niestety koszty życia w Chicago były znacznie wyższe niż na prowincji.

Dziś rano dowiedziała się, że po pierwsze Dillon okłamał ją, przedstawiając się nie swoim imieniem, a po drugie zginął w wypadku na nartach. Wpatrując się w dziecko, które razem powołali do życia, czuła mętlik w głowie i w sercu. Miałaby się złościć na Dillona? Bez sensu. Owszem, było jej przykro: zawsze szkoda człowieka, który tak młodo ginie. Oczywiście żałowała, że jej syn nie pozna swojego ojca. Ona sama miała doskonałe relacje z rodzicami, szczególnie bliska więź łączyła ją z ojcem. Pragnęła, aby Brice też grzał się w ciepłe rodzinne...

Natomiast nie rozpaczała po Dillonie jak po człowieku, którego kochała. Bo nie kochała go. Znali się zaledwie tydzień, a raczej znali tylko swoje ciała. Poza tym nic o sobie nie wiedzieli. Znow ogarnął ją wstyd. Nie należała do kobiet, którym przydarzają się wakacyjne romanse. Może dlatego nie pomyślała o zabezpieczeniu. A może podświadomie pragnęła dziecka, kogoś, o kogo mogłaby się troszczyć, kogo mogłaby kochać, kto zapełniłby pustkę, jaka powstała w niej po śmierci rodziców.

Tak czy inaczej, spoglądając na swoje maleństwo, nie żałowała ani romansu, ani ciąży.

- Kocham cię - szepnęła, gładząc synka po policzku.

Pokochała dziecko od pierwszej chwili, odkąd dowiedziała się, że nosi je w swoim łonie. Ale nawet największa miłość do syna nie była w stanie przysłonić jej trosk.

Po drugiej stronie parawanu świeżo upieczeni rodzice zastanawiali się, kogo poprosić na chrzestnych dla swojego maleństwa. Sądząc po ilości imion, jakie padały, mieli ogromny wybór.

Morgan zaś... jej nieliczni krewni mieszkali w innych częściach Stanów. W Wisconsin miała niewielką grupkę przyjaciół; kilkoro z nich namawiało ją, by po utracie pracy nie opuszczała miasta. Zwłaszcza Jen Woolworth, nauczycielka z tej samej szkoły, była temu przeciwna.

- Skarbie, niedługo zaczniesz rodzić. Nie powinnaś wybierać się w żadną podróż, szczególnie sama. Zamieszkaj z nami.

Propozycja była kusząca. Morgan uwielbiała Jen; często po zajęciach w szkole szły na kawę, niekiedy w weekendy umawiały się na plotki lub na łażenie po sklepach. Ale Jen mieszkała w niedużym domku razem z mężem, dwoma żywiołowymi nastolatkami i sikającym wszędzie miniaturowym pudlem, na którego ze zrozumiałych względów wolano Sikacz. Nie było tam miejsca dla jeszcze jednej osoby: samotnej matki z dzieckiem. Wprawdzie Jen twierdziła, że miejsce by się znalazło, chłopcy mogliby urzędować w jednym pokoju, drugi byłby dla niej, ale Morgan odmówiła; nie chciała być ciężarem.

Niemowlę zaczęło popiskiwać. Zsunęła ramiączko. Karmienie piersią nie powinno stanowić problemu. Tak jej mówiono w szkole rodzenia. Ale Brice nie wiedział, co ma robić. Krzywił się, grymasił, wreszcie otworzył buzię i zapłakał.

Łzy napłynęły Morgan do oczu.

Poradzimy sobie. Naprawdę tak powiedziała do Bryana? Czy choć przez chwilę wierzyła w te słowa?

Miała ochotę przyłączyć się do dziecka i rozplakać głośno. Pohamowała ten odruch. Nigdy się nie poddawała, nie podda się i teraz. Jest potrzebna swojemu synowi. Nie może go zawieść. Łzy muszą poczekać.

- Spróbujmy jeszcze raz - powiedziała stanowczo.

Po kilku kolejnych próbach mały wreszcie pojał, o co chodzi.

Ogromny wazon pełen złocieni, lilii oraz irysów wniesiono do pokoju, kiedy Morgan odkładała Brice'a do łóżeczka. Popatrzyła zdumiona. Kto mógł jej przysłać tak wspaniały bukiet? Nikt w Wisconsin nie wiedział, że już urodziła, a w Chicago nikogo oprócz...

Nie, to niemożliwe, uznała.

Sięgnęła po przypiętą do łodygi białą kopertę i wyjęła ze środka karteczkę. Pod wydrukowanymi kursywą gratulacjami widniał podpis: Bryan Caliborn.

Zamrugnęła. Nie sądziła, że ten twardy ponury człowiek może być tak miły i troskliwy. A już całkiem podbił jej serce, kiedy godzinę później zjawili się dwaj sanitariusze, którzy na jego polecenie przenieśli ją do jednoosobowego pokoju na końcu korytarza. Pokój był większy i wyposażony w telewizję kablową; pod ścianą stał wygodny fotel bujany, a na ścianach wisiały reprodukcje słynnych obrazów.

Morgan rozmyślała o tym, jak bardzo pomyliła się w swojej ocenie Bryana, kiedy dostała od niego list. Akurat szykowała się do opuszczenia szpitala. Włożyła na siebie jedną ze swoich luźnych bezkształtnych sukienek, gdy w drzwiach stanęła szczupła seksowna Britney ubrana w modnie rozkloszowaną spódnicę, dopasowany żakiet i szpilki z odkrytymi palcami.

- To dla pani. - Postawiwszy na łóżku dużą torbę z zakupami, podała Morgan białą kopertę.

List od Jego Wysokości.

Morgan zmarszczyła czoło. Ciekawa była, co zawiera torba, ale jeszcze bardziej intrygowała ją treść listu.

Morgan, na dole czeka samochód. Zabierze Ciebie i dziecko do mieszkania, z którego możesz korzystać do końca swojego pobytu w Chicago. Uregulowałem rachunek za Twój pokój hotelowy i dopilnowałem, aby wszystkie Twoje rzeczy zostały przewiezione w nowe miejsce. Na moją prośbę Britney będzie towarzyszyła Ci w drodze. Ja skontaktuję się z Tobą wieczorem, żeby upewnić się, czy niczego więcej nie potrzebujesz.

Bryan.

Najpierw spłynęła na nią ulga. Jej modły zostały wysłuchane. Nie wyobrażała sobie powrotu z dzieckiem do nędznego pokoju w nędznym hoteliku, w którym wszędzie cuchnęło dymem papierosowym. W nowym mieszkaniu nie będzie musiała się o nic troszczyć: pranie i sprzątanie były wliczone w koszty. Po chwili jednak naszły ją wątpliwości: dlaczego Bryan to robi? Co nim kieruje? Czy uwierzył, że Brice jest synem Dillona, czy na wszelki wypadek woli mieć ją na oku? Przeczytała list po raz drugi: nie, nie była w stanie doszukać się żadnych motywów.

Tym razem jednak nie poczuła ulgi. Poczowała złość, że Bryan wszystko zaaranżował, niczego z nią nie konsultując. Nie lubiła, gdy ktoś jej mówił, jak ma postąpić, dokąd jechać, gdzie zamieszkać.

I co na siebie włożyć, dodała w myślach, kiedy Britney podsunęła jej torbę.

- Pan Caliborn prosił, żebym kupiła pani coś na drogę...

- Mam własne ubranie - zaprotestowała. Britney zmierzyła ją wzrokiem.

- Wybrałam kilka rzeczy, które powinny pasować - rzekła, zatrzymując spojrzenie na jej talii. - Rozmiaru nie znałam, ale doszłam do wniosku, że lepsze będą stroje nieco luźniejsze.

Morgan wiedziała, że nadal wygląda, jakby była w ciąży. Może nie w dziewiątym miesiącu, jak podczas pierwszego spotkania ze smukłą Britney, ale w czwartym lub piątym.

- Mam własne ubranie - powtórzyła głośniejsz.

- Pan Caliborn uznał, że będzie pani wygodniej w czymś świeżym.

- Niech pani powie panu Calibornowi... - Morgan urwała; zamierzała odmówić przyjęcia prezentu, ale na widok ślicznej sukienki, którą Britney wyjęła z torby, pomyślała tylko: Boże, spraw, żeby na mnie pasowała!

- Co mam powiedzieć panu Calibornowi? - spytała Britney.

- Że bardzo dziękuję. I że zwrócę mu pieniądze.

Sukienka leżała na niej doskonale. Morgan musiała przyznać, że sekretarka Bryana nie tylko zna się na modzie, ale ma znakomite oko i potrafi doskonale dobrać strój do figury. Oczywiście brzucha nic nie było w stanie całkiem zakamufłować, ale sukienka, podkreślając inne atuty, również powiększone przez ciążę, odwracała uwagę od pogrubionej talii. Oby tylko dziecku nie zachciało się jeść, zanim dotrą na miejsce. Sukienka, z suwakami na plecach, nie była szyta z myślą o karmiących matkach.

- Dużo lepiej - oznajmiła ze zdumieniem Britney, kiedy Morgan wyszła z łazienki.

- Dziękuję.

Spojrzała na zegarek.

- Prosiłam sanitariusza, żeby przyszedł z wózkiem. Dostała pani wypis?

- Tak, wszystko już załatwione.

Britney skinęła głową i wyjęła telefon komórkowy.

- Noah, tu Britney. Podjedź za kwadrans pod główne wejście.

Nowy strój, nowe mieszkanie, samochód... Morgan poczuła się prawie jak Kopuszek, tyle że brakowało dobrej wróżki, bo Britney nie nadawała się do tej roli, oraz królewicza.

- Gdybyś zauważył jakichś fotoreporterów - kontynuowała sekretarka - natychmiast daj mi znać. Przejdziemy wtedy do planu B.

- Fotoreporterów? - zdziwiła się Morgan.

- Paparazzich. Staraliśmy się, aby wieść o pani i jej synu nie przeciekła do prasy, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

- Obawiam się, że nie rozumiem...

Britney westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- W Chicago Calibornowie są powszechnie znani. Ich nazwisko pojawia się w gazetach z powodów biznesowych oraz imprez charytatywnych. Lecz nic tak nie zwiększa nakładu jak skandal obyczajowy.

No pięknie, pomyślała Morgan. Ona z Brice'em mogliby stanowić pożywkę dla prasy brukowej. Nic dziwnego, że Bryan postanowił znaleźć jej inne lokum.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Przekroczywszy próg, Morgan zaniemówiła z wrażenia. Co jak co, ale nie spodziewała się, że zamieszka w apartamencie na ostatnim piętrze wieżowca i że z okien, które ciągnęły się przez całą długość ściany, będzie miała widok na Jezioro Michigan oraz słynny Navy Pier.

Salon urządzony był w beżach i jasnych brązach. Stały w nim najwyższej jakości eleganckie meble, między innymi piękny fortepian gabinetowy - och, jak ją kusilo, by na nim zagrać! - w sumie jednak apartament sprawiał wrażenie zimnego i pustego, jakby od dawna nikt w nim nie przebywał.

- Czyje to mieszkanie?

- Pana Caliborna - odparła Britney, wznosząc oczy do nieba.

- On tu mieszka? - zdumiała się Morgan.

Wydawało jej się, że człowiek o tak silnej i wyrazistej osobowości odciska piętno na wszystkim, czego się tknie, na każdym drobiazgu.

- Od trzech lat, ściślej od czasu swojego rozvodu. - Sekretarka uśmiechnęła się ironicznie. - A co? Mieszkanie nie spełnia pani oczekiwań?

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu jest... takie bezosobowe. - No właśnie, bezosobowe. Bardziej przypominało pięknie zaaranżowaną przestrzeń w ekskluzywnym domu meblowym niż autentyczne mieszkanie. - Nie ma tu nawet żadnych zdjęć.

- Pan Caliborn nie jest sentymentalny, natomiast bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki.

Nie jest sentymentalny? Morgan wcale nie była tego taka pewna. W gabinecie trzymał zdjęcie brata. A także inne, starszej pary, przypuszczalnie swoich rodziców. No i przysłał jej do szpitala bukiet kwiatów. Wspomniała o tym sekretarce Bryana.

Britney parsknęła śmiechem.

- Niech pani nie będzie naiwna, panno Stevens. Ludzie na stanowisku pana Caliborna muszą dbać o pozory. Stąd te środki ostrożności. Stąd bukiet. - Powiodła po niej wzrokiem. - I stąd sukienka. Na wypadek, gdyby jakiś gorliwy fotograf zrobił pani zdjęcie przed szpitalem. Chodzi o zapobieganie potencjalnym szkodom.

Zapobieganie szkodom? Morgan poczuła się tak, jakby wylano jej na głowę kubel zimnej wody. Była wściekła, zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, Britney minęła ją, stukając obcasami po marmurowej posadzce, i znikła z pola widzenia. Nie pozostało Morgan nic innego, jak ruszyć jej śladem. Znalazła ją w kuchni.

- Spizarnia jest pełna, lodówka też - oznajmiła Britney i otworzywszy podwójne drzwi, wskazała na półki uginające się pod ciężarem mleka, soków, serów, jajek, masła. Niżej, w przezroczystych pojemnikach, leżały świeże owoce oraz warzywa. - Pan Caliborn prosił, żeby pani jadła wszystko, na co ma ochotę, a jeśli czegoś brakuje, to sporządziła listę. Dwa razy w tygodniu przychodzi Hilda, która sprząta, pierze, a także robi zakupy spożywcze.

Tak, Bryan wspomniał o tym w liście. Nagle coś przyszło Morgan do głowy.

- A gdzie pan Caliborn będzie mieszkał?

- Jego rodzice spędzają lato za granicą. Przeniósł się do ich domu w Lake Forest. Ma stamtąd dalej do pracy, ale najwyraźniej uznał, że pani będzie wygodniej tu niż w hotelu.

Morgan nie odezwała się. Jej gniew wyparował. Oczywiście, że wygodniej będzie jej w luksusowym mieszkaniu niż w podłym hotelu. Ale nie chciała wyrzucać Bryana z jego własnego apartamentu i utrudniać mu życia. Zadzwoni do niego po wyjściu Britney. Może razem wymyślą inne rozwiązanie.

- Poza tym tutejszy portier, który strzeże prywatności pana Caliborna, dopilnuje, aby żaden dziennikarz nie próbował się do pani zakraść.

No tak, pomyślała Morgan; zapobieganie potencjalnym szkodom...

Brice poruszył się w jej ramionach. Przesunęła go nieco wyżej, ściągnęła mu czapkę i pocałowała lekko w czubek głowy.

- Co, śpiochu? Postanowiłeś się obudzić?

Britney skierowała wzrok na malca. Chyba żadna kobieta nie jest nieczuła na urok niemowlaka, nawet taka nastawiona na robienie kariery, ale spojrzenie Britney, zamiast złagodnieć, stało się jeszcze bardziej zimne.

Mimo to Morgan spytała:

- Chciałaby pani kiedyś mieć dzieci?

Britney skrzywiła się.

- A skąd! Choć przyznaję, że czasem nieplanowana ciąża może stanowić przepustkę do lepszego życia.

- Co pani przez to rozumie?

- To chyba oczywiste. Niech się pani rozejrzy wokół siebie.

- Sądzi pani, że chodzi mi o pieniądze Calibornów?

- Owszem, tak sędzę. I podejrzewam, że nie jest to tylko moje zdanie. Ale radzę nie przyzwyczajać się do luksusu. Wprawdzie Bryan nigdy nie uchyla się od odpowiedzialności, ale pani zupełnie nie jest w jego typie.

W tym momencie Morgan uzmysłowiła sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, Britney kocha się w swoim szefie, po drugie, nie wie, że ojcem dziecka jest Dillon.

No cóż, skoro Bryan nie wyprowadził jej z błędu, Morgan tym bardziej nie zamierzała tego robić. Chociaż korciło ją, by się odgryźć i powiedzieć, że ona, Britney, też nie jest w jego typie.

- Sypialnie są tam... - Stukając obcasami o podłogę, sekretarka wyszła z kuchni. - Z tej na końcu holu korzysta pan Caliborn. Druga, gościnna, jest dla pani.

Otworzyła drzwi. Oczom Morgan ukazał się przestronny umeblowany pokój: szerokie łóżko przykryte beżową narzutą, ściany pomalowane na nieco ciemniejszy odcień beżu, łóżeczko dla dziecka, niebieska kołderka, stół do przewijania, fotel na biegunach.

- Oczywiście wszystkie meble dziecięce są nowe i najwyższej jakości.

- Ale ja mam łóżeczko i przewijak - powiedziała Morgan. Dostała je w prezencie od swojej przyjaciółki Jen; na razie mebelki stały z resztą jej rzeczy w magazynie.

- No to będzie pani miała dwa. - Britney wzruszyła ramionami. - W szufladach pod przewijakiem znajdzie pani pieluszki, chusteczki i inne takie.

- Pomyślał o wszystkim - szepnęła Morgan.

Bez względu na to, co nim kierowało, była wzruszona.

- Tak, to w jego stylu. - Britney spojrzała na zegarek; nie mogła się doczekać, aby wyjść. - W tutejszym telefonie jest zapisany mój numer komórkowy. Gdyby pani czegoś potrzebowała, może pani do mnie dzwonić o dowolnej porze.

- To naprawdę nie jest konieczne.

- Pan Caliborn uważa, że jest. - Obróciwszy się na pięcie, sekretarka skierowała się ku drzwiom.

Pan Caliborn uważa... Pan Caliborn jest zdania... Pan Caliborn postanowił...

W innych okolicznościach Morgan by się wściekła. Nie pasowali do siebie: on władczy i rozkazujący, ona uparta i niezależna. Ale teraz, po porodzie, była słaba i bezbronna, a on był jedyną osobą, która wyciągnęła do niej pomocną dłoń. Kładąc Brice'a do nowego łóżeczka pachnącego świeżą pościelą, czuła ulgę, że jest tu, w czystym luksusowym apartamencie, a nie w zatęchłym, przyprawiającym o klaustrofobię pokoju hotelowym.

Jak tylko dojdzie do siebie, postara się znaleźć pracę i mieszkanie dla siebie oraz syna. Na razie musi schować dumę do kieszeni. Dla dobra dziecka.

Minęła ósma wieczorem, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Morgan siedziała na kanapie w salonie. Telewizor grał, ale nie oglądała filmu. Zbyt wiele myśli krążyło jej po głowie, aby była w stanie skupić się na akcji.

Mimo zapewnień Britney, że portier nie wpuści na górę żadnych niepożądanych gości, na wszelki wypadek przytknęła oko do judasza. W korytarzu zobaczyła Bryana, który stał z ponurą miną i rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Dobry wieczór - powiedziała, otworzywszy drzwi.

Przez moment świdrował ją swoimi czarnymi oczami. Miała na sobie obszerny T-shirt oraz rozciągnięte spodnie od dresu.

- Nie przyszedłem za późno? Pakując się wcześniej, zapomniałem zabrać przybory do golenia.

- Ależ nie, proszę, wejdź. - Cofnęła się, robiąc mu przejście.

- Mały śpi?

- Na razie tak - odparła.

Jeśli szczęście jej dopisze, Brice pośni jeszcze z godzinę, zanim zaczną domagać się jedzenia. Bryan skinął głową.

- Britney mówiła, że pokazała ci, co i jak...

- To prawda. - Morgan splotła ręce. - Wspomniała też, że przeniosłeś się do Lake Forest, do domu swoich rodziców, którzy przebywają chwilowo za granicą.

- Tak, mają dom na południu Francji. Teraz, gdy mój ojciec zbliża się do emerytury, coraz więcej czasu spędzają na Riwierze Francuskiej. - Powiedział to takim tonem, jakby posiadłość nad Morzem Śródziemnym nie była niczym niezwykłym.

Wyobraziła sobie starszych państwa Calibornów, dumnych, eleganckich i równie apodyktycznych, jak ich starszy syn. I przeraziła się. Marzyła o tym, żeby Brice miał kochającą rodzinę, ciotki i wujów, którzy obdarzą go miłością. Nagle jednak ogarnęły ją wątpliwości, czy jej syn będzie szczęśliwy w otoczeniu Calibornów.

- Miałam nadzieję, że ich poznam i przedstawię im Brice'a. Bądź co bądź to ich wnuk.

- Poznacie się, ale może podczas twojej kolejnej wizyty w Chicago.

Nie tłumaczyła mu, że wcale nie przyjechała do Chicago z wizytą. Chciała, by Brice mieszkał bliżej jedynych krewnych, jakich miał, powoli jednak zaczęła sobie uświadamiać, że chyba popełniła błąd, przenosząc się z Wisconsin.

- Nie wiedzą o mnie, prawda?

- Nie.

- A ty nie zamierzasz im nic mówić?

- Na razie nie.

Nie było sensu pytać, na co czekał. Znała odpowiedź: na dowód, że Brice jest synem Dillona. Podejrzewała, że zaraz poprosi ją o wykonanie testu. Ponieważ milczał, zmieniła temat.

- Chciałabym ci zwrócić pieniądze za jedzenie w lodówce i oczywiście za koszty, jakie poniosłeś na zapobieganie potencjalnym szkodom.

Ściągnął brwi.

- Słucham?

Zaczęła wyliczać.

- Za bukiet kwiatów, za jednoosobowy pokój, za nową sukienkę na drogę ze szpitala do domu. Britney wyjaśniła mi, że stanowimy z Brice'em świetną pożywkę dla prasy, dlatego trzeba zachować pozory.

Pokręcił głową, ale niczemu nie zaprzeczył.

- O żadnym zwracaniu pieniędzy nie ma mowy. Chciałem, żeby ci było przyjemnie i wygodnie.

- To miło, dziękuję. Za mieszkanie jednak zapłacę. Nalegam. - Zdawała sobie sprawę, że koszt apartamentu na ostatnim piętrze wieżowca, z patio na dachu i niesamowitym widokiem na jezioro, przekracza jej skromne możliwości finansowe, ale nie zamierzała tu mieszkać długo, a duma nie pozwalała jej zerować na szlachetności Bryana. Tym bardziej, że Bryan Caliborn właśnie tego się po niej spodziewał. - Przygotuj, proszę, umowę. Pokryję miesięczny koszt czynszu, prądu...

- Tu nikt nie płaci czynszu. Jestem właścicielem mieszkania.

- To wpisz w umowę sumę, jaką uznasz za stosowną.

- Po upływie miesiąca... Jakie masz plany? Wrócisz do Wisconsin?

- Nie, chyba nie. - Nic jej tam nie ciągnęło poza przyjaciółmi. Tęskniła za Jen, ale tak jak nie chciała zerować na Bryanie, tak nie chciała wykorzystywać przyjaciółki.

- A co z twoją pracą?

- Zostałam zwolniona.

- Rozumiem. - W oczach Bryana pojawił się błysk podejrzliwości.

- Nie wyrzucono mnie, tylko zwolniono. Z powodu cięć budżetowych.

- Na jedno wychodzi.

- Mylisz się. Uwielbiałam moją pracę i doskonale się w niej sprawdzałam. Dyrektor był niepokojony, że nie może przedłużyć ze mną kontraktu, niestety kryzys dotknął również szkolnictwo. - Skrzyżowała ręce na piersi. - Kiedy zaczyna brakować pieniędzy, najpierw oszczędza się na nauce i kulturze.

Na twarzy Bryana odmalował się wyraz zdziwienia.

- Jesteś nauczycielką?

- Tak. Muzyki. - Skinęła głową w stronę fortepianu. Jej własny czekał w magazynie. - Masz piękny instrument. Grasz na nim?

- Nie bardzo.

- Szkoda. - Zrobiło jej się żal, że tak wspaniały instrument stoi nieużywany.

- Stoi nieużywany - powiedział Bryan, jakby czytał w jej myślach. - Możesz śmiało sobie na nim pograć, chociaż przypuszczalnie potrzebuje strojenia.

- Chętnie za to zapłacę.

Westchnął ciężko. Przyjrzała mu się uważnie. Nie była pewna, co widzi w jego oczach: zniecierpliwienie czy rozbawienie.

- W porządku, ale na tym kończymy temat pieniędzy. Nie chcę więcej słyszeć o umowach, czynszach i zwrotach kosztów.

Nie zaprotestowała. Wyprowadzając się, zostawi mu czek i tyle. Bryan Caliborn przekona się, że nie ustępuje mu uporem. Ale jedno nie dawało jej spokoju.

- Czego się boisz? Że prasa odkryje prawdę?

- Między innymi - odparł enigmatycznie.

Ciekawa była, czego jeszcze się boi.

- W każdym razie doceniam twoje dobre serce. Chociaż głupio mi, że wyrzuciłam cię z twojego własnego mieszkania.

- Niech ci nie będzie przykro.

Kolejny rozkaz. Drażnił ją jego autorytatywny sposób bycia.

- Wiesz, masz irytujący zwyczaj mówienia mi, co mam robić, myśleć i czuć.

Nastroszył brwi. Najwyraźniej nie tylko on ją drażnił, ale ona jego również. Przepuszczalnie nie przywykł, aby ktoś mu zwracał uwagę. Czekwała na ostrą ripostę. Zamiast tego, rozciągając wargi w lekko ironicznym uśmiechu, skłonił się.

- Bardzo przepraszam.

Psiakość. Przecież nie mówił tego szczerze.

- Przyjęłabym przeprosiny, gdybym wierzyła w ich szczerłość.

- Sądzisz, że udaję?

Boso, bez obcasów, była co najmniej o głowę od niego niższa. Mimo to wyprostowała ramiona i dumnie uniosła brodę.

- Tak. Tak właśnie sędzę.

- Cholera, jesteś... jak powiew świeżego powietrza - mruknął, po czym skrzywił się, jakby był zdumiony własnymi słowami.

Poczuła się zbita z tropu.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć - przyznała cicho.

Roześmiał się.

- I dobrze. Jesteśmy kwita. Bo ty też stanowisz dla mnie zagadkę.

Zazwyczaj potrafił rozgryźć innych. Wiedział, co myślą, czego pragną. Morgan jednak pozostawała zagadką. I co dziwne, im więcej czasu z nią spędzał, tym mniej o niej wiedział. I tym bardziej był jej ciekaw.

- No dobra, wezmę przybory do golenia i ruszam w drogę.

Kiedy wrócił do salonu, siedziała przy fortepianie i grała cichutko, by nie zbudzić śpiącego w drugim pokoju dziecka. W przyćmionym świetle wyglądała niemal eterycznie, jak piękna zjawka z innego świata. Ale dźwięki wydobywające się z instrumentu piękne nie były. Nawet niewprawne ucho Bryana potrafiło wychwycić fałszywe nuty.

- I co? Bardzo jest rozstrojony?

Obejrzała się za siebie.

- Koszmarnie. To karygodne, żeby tak wspaniały instrument niszczał!

Bryan powściągnął uśmiech. Najwyraźniej Morgan zawsze wali prosto z mostu.

- Wyraziłbym skruchę, ale obawiam się, że znów zarzuciłabyś mi nieszczerłość.

- Naigrawasz się ze mnie. - Uderzając w klawisze, wydobyła kilka kolejnych dźwięków przyprawiających o ból uszu.

- Troszeczkę.

Zacisnęła zęby.

- Złości mnie to tak samo jak fakt, że chociaż mi nie ufasz, czujesz się w obowiązku kupić mi ubranie, jedzenie i dać dach nad głową, zupełnie jakbym była bezradną sierotą.

- Nie nazwałbym cię bezradną. Uważam, że całkiem nieźle sobie radzisz.

Pokręciła gniewnie głową.

- Przestań, proszę cię! Nie wiem, z czym masz problem, ale to twój problem, nie mój. Bo ja naprawdę nie poluję na fortunę Calibornów.

- Gdybym dostawał dolara za każdym razem, kiedy słyszę te słowa...

Opuściła z hukiem pokrywę.

- Pomyśleć, że czułam się wdzięczna za twoją pomoc! Psiakrew, gdybym miała samochód pod domem, a nie na parkingu przed twoją firmą, wzięłabym dziecko pod pachę i znikła ci z oczu!

Wiedział, że pożałuje swoich słów, ale nie potrafił się oprzeć:

- I gdybyś miała dokąd pójść. Ale nie masz, prawda? Nie masz domu ani pracy.

Dlatego przyjechałaś do Chicago.

Oczy jej rozbłysły, głos stał się ochrypły.

- Jak to możliwe, że ty i Dillon byliście braćmi? O nic cię nie prosiłam, Bryan. Sam nalegałeś, żebym się tu wprowadziła, a jednak cały czas masz wobec mnie jakieś podejrzenia.

Nic dziwnego, pomyślał, świadomie przywołując gorzkie wspomnienia, żeby uodpornić się na jej łzy. Nie pozwoli się drugi raz wystrychnąć na dudka.

- Masz rację, Morgan. Dill i ja bardzo się różniliśmy. I radzę ci o tym pamiętać - rzekł, a po chwili dodał szeptem: - Chociaż zaręczam ci, że... hm, w pewnych sprawach jestem równie kompetentny, jak on.

Poderwała się na nogi i nie kryjąc oburzenia, wskazała palcem drzwi.

- Wynoś się! Natychmiast!

Nie uznał za stosowne zwrócić jej uwagi, że wyrzuca go z jego własnego mieszkania. Po prostu zrobił to, o co prosiła. Był wściekły na siebie, że zachował się jak krety. Najgorsze, że nie rozumiał, dlaczego tak postąpił.

Siedział przy biurku, ściskając w palcach złote pióro wieczne i wpatrywał się w chicagowskie wieżowce. Był zbyt spięty, aby skupić się na pracy. Jego stan psychiczny nie miał jednak nic wspólnego z tym, że zysk, jaki firma osiągnęła w ubiegłym kwartale, okazał się mniejszy, niż oczekiwano. Miał natomiast wiele wspólnego z Morgan.

Nie widział jej ani z nią nie rozmawiał prawie od miesiąca. I chociaż w głębi duszy wiedział, że winien jest jej przeprosiny, nie potrafił się do nich zmusić. W dodatku wczoraj, po wielu wahaniach, wynajął prywatnego detektywa, aby ten poszperał trochę w przeszłości Morgan. Uznał, że czas najwyższy dowiedzieć się czegoś na jej temat. Nawet nie chodziło o to, że jej nie ufa, choć to oczywiście miało wpływ na jego decyzję. Raczej nie ufał samemu sobie, swojej intuicji, która mówiła mu, że Morgan nie kłamie.

Pół godziny temu zadzwoniła do firmy i zostawiła u Britney wiadomość, że dziś po południu zwolni zajmowany apartament.

Nie miało to najmniejszego sensu. Ani to, że zamiast przygotować się do zebrania, które zwołał za trzy kwadranse, wstał od biurka i skierował się do drzwi. Nie mógł tego wszystkiego tak zostawić.

Kiedy dwadzieścia minut później dotarł na miejsce, nawet nie zapukał. Wszedłszy do środka, omal nie przewrócił się o stos tobołków w holu. Morgan była spakowana i gotowa do drogi. Ale, zauważył, cząstkę siebie postanowiła mu zostawić: na beżowej kanapie leżały miękkie czerwone poduszki, tego samego koloru koc wisiał na oparciu fotela. Mieszkała tu zaledwie trzy tygodnie, a nadała wnętrzu więcej charakteru niż on w ciągu trzech lat. Ale może nic dziwnego: dla niego było to miejsce, w którym spędzał noce. Przestał marzyć o domu tego dnia, gdy dowiedział się, że Caden nie jest jego synem.

Na stoliku w salonie spostrzegł kopertę, na której widniało jego imię i nazwisko. W środku znalazł wystawiony na siebie czek. Zerknąwszy na sumę, westchnął głośno. Morgan albo była doskonałą aktorką, albo cierpiała na przerost dumy. Suma jak na jego standardy nie była wysoka, ale jak na standardy Morgan była oszałamiająca. Nauczycielki z Wisconsin nie stać na takie wydatki. Przeklinając pod nosem, Bryan przedarł czek na pół i wsunął do kieszeni.

Z głębi mieszkania dobiegło kwilenie dziecka. Bryan ruszył w kierunku pokoju gościnnego. Przez otwarte drzwi zobaczył Morgan, która stała przy stole do przewijania. Mimo luźnego stroju, który miała na sobie, zauważył, że schudła. Uczesana w koński ogon wyglądała prawie jak nastolatka. Zmieniając wrzeszczącemu malcowi pieluchę, przemawiała do niego kojącym tonem.

- Hej, maleńki. No nie płacz. Nie będzie tak źle, jak myślisz. Damy sobie radę, zobaczysz. Przecież stanowimy zgrany zespół.

Brice ucichł, zupełnie jakby wszystko zrozumiał. Oczywiście powód był inny: przestał płakać, bo mama dała mu czystą pieluszkę, a potem wzięła go na ręce. Ponad jej ramieniem wpatrywał się w Bryana. Przybyło mu włosków; sterczały zabawnie na czubku głowy.

Bryan odchrząknął. Słyszając to, Morgan obróciła się.

- Za godzinę już mnie tu nie będzie. - Przed chwilą przemawiała do dziecka ciepłym czułym głosem, teraz powiało od niej chłodem.

- Nie musisz się wyprowadzać.

- Muszę.

- Gdzie zamieszkaasz?

- Jakie to ma znaczenie?

Ogromne, ale nie potrafił jej tego wytłumaczyć. Zresztą sam nie do końca to wszystko pojmował. Powinien się cieszyć, że Morgan zniknie mu z oczu. Powinien...

- Słuchaj, chciałbym cię przeprosić. To, co powiedziałem, kiedy się ostatni raz widzieliśmy, było brzydkie. I niewybaczalne.

Skinęła głową.

- To prawda. Ale wyprowadzam się nie z powodu twoich manier czy też ich braku.

Po prostu znalazłam pracę.

Zaskoczyła go.

- Szukałaś pracy?

Przewróciła oczami.

- Może trudno ci w to uwierzyć, ale zawsze byłam samodzielna i taka zamierzam pozostać.

- Co to za praca?

- Świetna. W dzielnicy czerwonych światełek. Podobno mogę ustalać własne godziny - oznajmiła z poważną miną. - Chryste! Będę uczyć. A co myślałeś?

- Przyjęto cię z powrotem do szkoły w Wisconsin? - Czekał z napięciem na jej odpowiedź.

- Nie. Zostaję w Chicago, przynajmniej na razie.

Odetchnąłby z ulgą, gdyby nie pojawił kolejny problem.

- W której szkole? - W niektórych uczniowie dawali nauczycielom nieźle popalić. Podziwiał odwagę Morgan, ale słabo zrobiło mu się na myśl o tym, że mogłaby mieć do czynienia z członkami gangu.

- W żadnej. Zatrudnił mnie ośrodek kultury w południowej części miasta. Dzięki pieniądzom z Tempest Herriman Foundation ośrodek organizuje dodatkowe zajęcia dla dzieciaków. Bryan zmrużył oczy.

- Pewnie nie podpiszą z tobą wieloletniej umowy. I pewnie kiepsko będą płacić. Starczy ci chociaż na życie?

- To nie twoja sprawa - warknęła.

Wzruszył ramionami.

- Wiesz, chodzi o pozory - skłamał.

- O pozory? - zezłościła się. - Gdyby nie Brice, powiedziałabym ci, gdzie możesz wsadzić swoje pozory!

- Ależ powiedz, nie krępuj się. Dzieci w tym wieku naprawdę nie rozumieją znaczenia słów. Dla nich liczy się ton głosu.

- Odkąd to jesteś takim ekspertem od dzieci? - spytała, po czym wzięła głęboki oddech i kontynuowała takim tonem, jakby nuciła kołysankę: - Może to i lepiej, że nie wierzysz, że w żyłach Brice'a płynie krew Calibornów. Nie chciałabym, żeby mój syn dorastał wśród ludzi tak płytkich i samolubnych, jak ty.

Zignorował tę zniewagę. Jako wyznawca zasady *quid pro quo* uważał, że Morgan ma prawo go obrazić. Zresztą wyglądała tak pięknie; policzki miała zarumienione, oczy lśniące...

Wszedł głębiej do pokoju i rozejrzał się wkoło.

- To dziwne, ale nigdy bym cię nie wziął za osobę, która na złość mamie odmraża sobie uszy.

- Wcale tego nie robię.

- Nie? Żeby zarobić kilka marnych groszy, gotowa jesteś zabrać małe dziecko z wygodnego mieszkania w bezpiecznej dzielnicy. A co z ubezpieczeniem zdrowotnym?

Milczała. To mu wystarczyło za odpowiedź.

- Czyli ośrodek żadnego nie zapewnia. - Pokiwał głową i podszedł krok bliżej. - Gdzie zamieszkaż, Morgan? W jakiejś nędznej kawalerce, niewiele lepszej od hotelu, w którym zatrzymałaś się po przyjeździe do Chicago? Bądź rozsądna.

- Po co? Robisz wszystko, żeby sprawić mi przykrość, a potem masz czelność się dziwić, kiedy chcę się wyprowadzić? O co ci chodzi? Czego ode mnie oczekujesz?

Ostatnie słowa niemal wykrzyczała. Dziecko zaczęło płakać. Morgan przytuliła je; wyglądała tak, jakby za moment też miała się rozplakać. Bryan wystraszył się; wiedział, że to on ją doprowadził do takiego stanu.

- Nie płacz.

- Przestań mi rozkazywać! - Pociągnęła nosem. - Mam po dziurki w nosie twoich poleceń. Ciebie również. Odejdź, Bryan. Daj mi święty spokój.

Nie posłuchał. Przeciwnie, jeszcze bardziej zmniejszył dystans między nimi. Stał tak blisko, że czuł zapach dziecięcego talku. Tak blisko, że gdyby chciał, mógłby unieść dłoń i pogłaskać Morgan po policzku. A chciał, i to bardzo.

- Zostań, Morgan. Wcale nie dla zachowania pozorów.

- A dlaczego?

Dlatego, że mu na tym zależało. Że pragnął ją lepiej poznać. Ale zabrzmiałoby to fałszywie, więc powiedział:

- Dlatego, że tu będzie Brice'owi znacznie lepiej.

Opuściła ją wola walki. Bryan podszedł jeszcze pół kroku. Zrezygnowana oparła głowę na jego ramieniu. Dziecko, ściśnięte pomiędzy nimi, uspokoiło się.

- Grasz nie fair - powiedziała po chwili.

Roześmiał się gorzko.

- Wiem. Ale jak już ustaliliśmy, jestem draniem.

Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Nie używaj przy małym takich słów.

- Przepraszam.

- Dobrze, zostanę tu, ale tylko do powrotu twoich rodziców. Oni wciąż nie wiedzą o dziecku?

- Nie.

Skrzywiła się.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Mają za sobą bardzo ciężkie chwile - odrzekł Bryan.

Wiedział, że jeszcze się nie otrząsnęli po śmierci młodszego syna oraz po stracie dziecka, które okazało się nie być ich wnukiem.

- I uważasz, że przeze mnie znów mogą cierpieć?

Odwrócił się.

- Po prostu wolę być ostrożny. Mam ku temu powody - oznajmił cicho.

Nic więcej nie zamierzał jej tłumaczyć.

- Jeśli się nie zmienisz, będziesz wiódł bardzo samotne życie.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Umówił się ze znajomą w drogiej francuskiej restauracji. Siedział przy stoliku, popijając wytrawne czerwone wino i udając, że słucha tego, co Courtney mówi. W rzeczywistości odtwarzał w myślach rozmowę, jaką trzy tygodnie temu odbył w swoim mieszkaniu z Morgan.

„Jeśli się nie zmienisz, będziesz wiódł bardzo samotne życie”. Myliła się. Nie dośkwierała mu samotność. Wprost przeciwnie.

- Zgadzasz się? - Pytanie Courtney wyrwało go z zadumy.

- Naturalnie - odparł, choć nie miał pojęcia, czego dotyczyło.

Wiedział jedynie, czego sam pragnie. Courtney Banks była kobietą zamożną i z powodu nieprzyjemnego rozwodu miała równie cyniczne nastawienie do płci przeciwnej jak on. W najmniejszym stopniu nie interesowało jej ponowne zamążpójście, poza tym nie pociągały jej jego pieniądze.

Zaprzyjaźnili się trzy lata temu, kiedy odeszła od niego żona; od tej pory spędzali razem miły niezobowiązujący wieczór, ilekroć któreś z nich miało ochotę na towarzystwo. Dlatego Bryan dzisiaj do niej zadzwonił.

Niestety nie mógł się skupić na rozmowie, bo bez przerwy myślał o wygadanej blondynce, której pozwolił zostać w swoim mieszkaniu i która wczoraj odwiedziła go we śnie.

- Cały wieczór jesteś nieobecny myślami - powiedziała mu ze śmiechem Courtney.

- Słucham?

- Przed chwilą przyznałeś mi rację, że White Soksi biją Cubsów na głowę, a oboje wiemy, że jesteś ich zagorzałym fanem.

Skrzywił się.

- Przepraszam. Jakoś dużo się ostatnio dzieje...

- Gdybym cię lepiej nie znała, Bryan, poczułabym się zazdrosna.

Uścisnął nad stołem jej dłoń.

- Nie jesteś typem zazdrośnicy - odparł.

Zresztą ich związek nie opierał się na wielkich uczuciach; nie byli zakochani, nie przysięgali sobie wierności, mieli prawo spotykać się z innymi i z obawy przed zranieniem oboje wystrzegali się miłości.

Courtney wzruszyła ramionami.

- Fakt, zazdrosna nie bywam, ale bywam zaborcza. Kiedy spędzam wieczór z mężczyzną, pragnę, żeby myślał wyłącznie o mnie.

- Powinien, bo na to zasługujesz - zgodził się. - Skarbie, bardzo mnie zniełubisz, jeśli dziś rozstaniemy się wcześniej? Kiepski ze mnie kompan...

- Czy cię zniełubię? Nie. Ale będę zawiedziona i ty też. Planowałam zademonstrować ci moją nową bieliznę. - Posłała mu uśmiech, który w przeszłości sprawiał, że serce waliło mu jak oszalałe. Tym razem reakcja niestety nie nastąpiła.

- Moja strata - szepnął.

- Owszem, twoja strata. Cieszę się, że przynajmniej masz tego świadomość.

Zapłacił rachunek. Odwiózł Courtney do jej domu przy Lake Shore Drive. Później zamiast jechać dalej na północ do Lake Forest, skręcił na południe, w kierunku centrum. W stronę swojego apartamentu, w stronę Morgan.

Było po dziewiątej, kiedy uniósł rękę, by zapukać do drzwi. Nagle zawahał się. Może należało wcześniej zadzwonić? Poczul lekkie zdenerwowanie. Co on tu robi? Co mu strzeliło do głowy? Nie zważając na pytania, zastukał cicho. Jeżeli Morgan nie usłyszy lub nie otworzy, to trudno.

Otworzyła błyskawicznie. Była boso, bez makijażu, w dżinsach i T-shircie, paznokcie u stóp miała pomalowane na jaskraworóżowy kolor, a włosy ściągnięte w koński ogon - fryzura niewątpliwie wygodna, lecz mało stylowa.

Bryan wciągnął z sykiem powietrze. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, lecz podejrzewał, że nic dobrego.

- Co za niespodzianka.

- Jest późno, powinienem był zadzwonić - rzekł, wypowiadając na głos własne myśli. - Przepraszam.

- Nic się nie stało. Nie spałam.

- Chciałem zabrać kilka koszul - skłamał. - Mogę wejść?

- Oczywiście. To twoje mieszkanie. - Cofnęła się, robiąc mu przejście. - Tylko mi nie mów, że dopiero wyszedłeś z pracy.

- Nie. Byłem na kolacji ze znajomą.

Uniosła pytająco brwi.

- Czyli na randce?

Milczał zakłopotany. Morgan sama wybawiła go z opresji.

- Zdejmiesz płaszcz i wejdiesz na chwilę? Czy jesteś w pędzie?

W odpowiedzi podał jej wierzchnie okrycie. Kiedy wieszala je w szafie, rozluźnił pod szyją krawat. Rozpinał górny guzik koszuli, kiedy Morgan ponownie się odwróciła. Natychmiast spuściła wzrok.

- Wprawiam cię w zakłopotanie? - spytał.

- Nie, wszystko w porządku. Bylebyś zakończył striptiz na tym jednym guziku.

- Taki miałem zamiar - rzekł ze śmiechem, po czym zmienił temat. - Jak się miewa Brice?

- Wspaniale. - Spojrzenie jej złagodniało. - Rośnie jak na drożdżach. Od naszej ostatniej wizyty u pediatry przybrał niemal kilogram.

- A ty kilka straciłaś. - Powiódł wzrokiem po jej sylwetce.

Spodobało mu się to, co widział.

- Tak, udało mi się - przyznała. - Dzięki Bogu, bo w nic się nie mieszczę. Pewnie nie wierzysz, ale posiadam inne stroje, nie tylko koszulki o trzy numery za duże. - Wskazała na swój luźny T-shirt.

- W za dużych też ci do twarzy.

Zaczerwieniła się.

- Napijesz się czegoś?

- Szkockiej z wodą. Sam sobie naleję - dodał, widząc jej zdezorientowaną minę.

Podszedł do barku w rogu pokoju. Chociaż niewiele pił, barek zawsze miał doskonale zaopatrzone. Wrzuciwszy do szklanki kilka kostek lodu, nalał whisky, którą następnie rozcieńczył wodą. Kiedy odwrócił się, Morgan siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami. Przed nią leżały luźne kartki papieru. Nuty.

- Co robisz? - spytał, podchodząc do kanapy.

- Próbuję wybrać parę utworów dla kilkorga bardziej zaawansowanych uczniów.

Zmarszczył czoło.

- Pracujesz?

- No tak. W tym ośrodku kultury, o którym ci mówiłam.

- Sądziłem, że zrezygnowałaś z tego pomysłu. Że tak ustaliliśmy.

- Nie. Zgodziłam się pozostać w tym mieszkaniu, dopóki twoi rodzice nie wrócą z Europy.

- A co z Brice'em?

- Zabieram go z sobą. Spędzamy w ośrodku tylko dwie, trzy godziny. - Uśmiechnęła się. - Przesypia większość lekcji, nawet tych z początkującymi uczniami. A jeśli się budzi, nie brakuje chętnych, żeby się nim zająć. Dzieciaki go uwielbiają, personel również.

Pokręcił głową.

- Nie rozumiem cię, Morgan. Nie powinnaś myśleć o zarabianiu.

- Muszę. Moje oszczędności są znacznie skromniejsze od twoich. Dlatego wciąż szukam pracy na pełen etat.

- Ale dopiero urodziłaś dziecko!

- Po urlopie macierzyńskim, który nie trwa w nieskończoność, większość kobiet wraca do pracy - zauważyła. - Gdybym nadal pracowała w szkole, miałabym wolne do końca letnich wakacji, ale praca w ośrodku nie jest zła. Właściwie całkiem mi się podoba, tylko instrumenty są w tragicznym stanie.

- Macie fortepian?

- Ani jednego. Pieniądze, które ośrodek dostaje, nie starczą na wszystko. Przewiozłam tam z magazynu własne pianino...

- Zadałaś sobie sporo trudu.

- Zrobiłam to dla dzieciaków. One naprawdę kochają muzykę. Niektóre pochodzą z dysfunkcyjnych rodzin, ale są tak pełne zapału! Uczenie ich sprawia mi ogromną radość.

- Mówisz serio.

Zmarszczyła brwi.

- Oczywiście, że tak. - Słyszając płacz Brice'a, westchnęła cicho i wstała. - Przepraszam.

Czekając na jej powrót, Bryan krążył po mieszkaniu, popijał whisky, spoglądał na drobne zmiany, jakie Morgan wprowadziła. Na przykład na stole w jadalni leżał wzorzysty bieżnik, na nim stała kompozycja kwiatowa. Nagle zdał sobie sprawę, że nigdy nie jadł przy tym stole. Jeśli jadał w domu, zwykle siadał na stołku przy kuchennej wyspie albo przechodził z talerzem do salonu i włączał telewizję. Tęsknił za rodzinnymi posiłkami, kiedy to wszyscy zbierają się przy jednym stole. Z żoną prawie nigdy nie jadali wspólnie. Liczył, że wszystko się zmieni po narodzinach Cadena. I zmieniło się, ale nie tak, jak tego chciał.

W salonie nad kominkiem zauważył trzy grube świece zapachowe. Nie stały na pokaz jako dekoracja; knoty były nadpalone. Wyobraził sobie, jak salon wygląda w ich blasku. Nastrojowo, romantycznie, przytulnie.

Wypił kolejny łyk. Nagle zatrzymał wzrok na oprawionym zdjęciu przedstawiającym Morgan ze starszym państwem. Ubrana w czarną togę i czapkę z kwadratowym denkiem, trzymała w ręku dyplom i uśmiechała się od ucha do ucha. Podniósł zdjęcie z półki i zbliżył je do oczu. Tak, to był uśmiech osoby gotowej na podbój świata.

- Zrobiono je w dniu wręczania dyplomów.

Obejrzał się przez ramię. Nie słyszał jej kroków.

- To twoi rodzice? - spytał.

- Tak. - Zabrawszy mu zdjęcie, w milczeniu pogłaskała ich po twarzy. W przeciwieństwie do radosnej dziewczyny na fotografii ta, która stała w salonie, miała smutny wyraz oczu. - Byli ze mnie tacy dumni.

- Mówiłaś, że nie żyją...

- Tak. - Odstawiła zdjęcie na miejsce.

- Współczuję. - Wykonał dłonią nieokreślony ruch. - Widzę, że wprowadziłaś kilka zmian.

- Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza?

- Skądże. Całkiem mi się to podoba. - Tak bardzo mu się podobało, że chociaż pora była późna, wcale nie miał ochoty się jeszcze żegnać.

- To dlaczego sam nie „oswoiłeś” tego miejsca? Dlaczego nie nadałeś wnętrzu bardziej osobistego charakteru?

- Nie wiem. Pewnie nie czułem potrzeby.

- Ale mieszkasz tu już trzy lata. Od czasu rozwodu. Britney mi powiedziała - wyjaśniła, widząc jego zdziwione spojrzenie.

Przeszedł do kanapy i usiadł. Będzie musiał porozmawiać z sekretarką.

- Co jeszcze powiedziała?

- Zbyt mało, żeby zaspokoić moją ciekawość. Może sam dopowiesz mi resztę?

- Właściwie to nie ma żadnej reszty. Przez kilka lat byłem żonaty, ale nam nie wyszło, więc się rozstaliśmy. - Wzruszył ramionami.

- Czy twoja żona jest jednym z tych powodów, o których wspomniałeś? Powodów, dlaczego wolisz być ostrożny?

Wypił łyk alkoholu.

- Tak - odparł.

Jedno małe słowo, a poczuł się, jakby obnażył przed Morgan swą duszę.

- Skrzywdziła cię. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. - Przykro mi.

Nie chciał jej litości, tym bardziej że ona, Morgan, też została skrzywdzona - przez jego brata.

- Było, minęło.

- Rzeczywiście minęło?

Jeszcze kilka minut temu nie spieszyło mu się do wyjścia, a teraz poderwał się na nogi.

- Powinienem już iść. Na pewno jesteś zmęczona.

- Co? Temat wciąż jest bolesny? Wystarczy powiedzieć „stop”; nie trzeba od razu uciekać.

- Nie uciekam. - Zmusił się, by ponownie usiąść. - W porządku; źle się czuję, rozmawiając o rozwodzie - przyznał. - To nie było przyjemne doświadczenie.

- Rzadko bywa przyjemne, niezależnie od tego, co doprowadza do rozstania. Na pewno nie chcesz o tym pogadać?

Chciał. Zbyt długo tłumił w sobie emocje. Ale powstrzymał się i pokręcił przecząco głową.

- Na pewno, ale dzięki.

- Gdybyś kiedykolwiek zmienił zdanie, to wiesz gdzie mnie szukać.

Uśmiechnął się i nagle sam siebie zaskoczył:

- Kochałaś go? - zapytał.

Opuściwszy wzrok, oblała się rumieńcem.

- Znaliśmy się tylko tydzień.

Siedem dni i siedem nocy. Bryan poczuł bolesny ucisk w sercu.

- Podobno istnieje coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia.

Morgan popatrzyła mu w oczy.

- Właśnie to chciałbyś usłyszeć? Że spostrzegłam Dillona na drugim końcu zatłoczonej sali i straciłam dla niego głowę?

- Tak. Nie! - Rozluźnił zwinięte w pięść dłonie. - To nie ma znaczenia. Twoje relacje z Dillesem mnie nie dotyczą, tak jak moje z nim nie dotyczą ciebie.

Sądził, że to koniec dyskusji, ale się pomylił.

- Dla twojej wiadomości: nie jestem... rozwiązała.

Ogniście czerwone policzki czyniły jej słowa jeszcze bardziej wiarygodnymi. Bryan poczuł wyrzuty sumienia z powodu śledztwa, jakie kilka tygodni temu zlecił prywatnemu detektywowi. Odwołaj go, mówiło mu serce. Poznaj fakty, nalegał rozum. Psiakość, zawsze wiedział, co ma robić; wahanie się nie leżało w jego naturze.

Przeczesał ręką włosy.

- Dill potrafił być czarujący.

- Zwykle trudno mnie zabajerować, ale wtedy przechodziłam bardzo ciężki okres w życiu. Nie próbuję się usprawiedliwiać - dodała szybko. - Po prostu tak było.

- Żałujesz?

- Nie żartuj. Mam Brice'a - przypomniała mu. Gdybym żałowała poznania Dillona, musiałabym żałować urodzenia dziecka. A to najwspanialsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać.

Bryan pokiwał głową.

- Pójdę już.

- Twoje koszule...

- Zabiorę je innym razem. - Ruszył do drzwi. - Nie powinienem był tu przychodzić.

- Więc dlaczego przyszedłeś?

Podala mu płaszcz, który wyjęła z szafy. Ich palce się zetknęły dosłownie na moment, mimo to przeszył go dreszcz. Dlaczego przyszedł? Nagle zrozumiał dlaczego.

- Nie powinienem był - powtórzył.

Była równie uparta, jak on.

- Więc dlaczego tu jesteś?

- Nie chcesz tego wiedzieć.

- Chcę.

- Dobrze. Dlatego...

Upuścił płaszcz na podłogę i zgarnął Morgan w ramiona. Całował ją mocno i namiętnie. Usta miał niecierpliwe. Jej były uległe, chętne.

Wreszcie uniósł głowę. Wpatrywali się w siebie w ciszy, którą zakłócały głośne oddechy. Bojąc się emocji, które w nim wezbrały, tego, że zaraz znów zmiążdży Morgan w uścisku, chwycił płaszcz i opuścił mieszkanie.

Tkwiła bez ruchu, nie wierząc w to, co się stało. Że Bryan ją pocałował. I że ona tak gorliwie odwzajemniła pocałunek. A przed chwilą twierdziła, że nie jest rozwiązła!

Czekała, aż zaleje ją fala wstydu, ale tak się nie stało. A kiedy wieczorem leżała w łóżku, zbyt rozgorączkowana, by zasnąć, żałowała tylko dwóch rzeczy: że Bryan nie do końca jej ufa i że nie czuła tak wielkiego podniecenia, kiedy kochała się z ojcem swojego dziecka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minął tydzień. Bryan się nie odezwał. Nie odezwał się również w kolejnym tygodniu. Nie była pewna, czy powinna się cieszyć, czy smucić, być wdzięczna czy zawiedziona. Wciąż robiło się jej gorąco na wspomnienie ich pocałunku. A wspominała go często!

Ciekawe, czy Bryan również?

Zadzwoił w piątek.

- Morgan, mówi Bryan - przedstawił się, choć nie było to konieczne. Przecież nie odbierała dziesiątek telefonów od mężczyzn, w dodatku obdarzonych tak niskim zmysłowym głosem. - Jesteś wolna dziś wieczorem?

Pytanie tak ją zaskoczyło, że przez moment milczała. Potem zamiast odpowiedzieć „tak” lub „nie”, zapytała:

- Bo co?

- Musimy coś przedyskutować.

Zabrzmiało to groźnie. Ogarnął ją strach większy, niż gdyby dostała zaproszenie na randkę. Może jej entuzjastyczna reakcja na pocałunek sprawiła, że Bryan w końcu uznał, że poprosi ją o wykonanie badań DNA?

- Jadłaś kolację?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma.

- Dwie godziny temu - odparła. - O ile miskę płatków śniadaniowych można nazwać kolacją.

Przez moment w telefonie panowała cisza.

- Mógłbym wstąpić po drodze do Chińczyka. Na rogu jest świetna knajpka. Skusisz się?

Nie była pewna, jak potraktować jego propozycję.

- Tak. Dla mnie może być kurczak z groszkiem, za sajgonki dziękuję, za ciasteczko z przepowiednią również. Aha, i wolę biały ryż od smażonego.

Miała wrażenie, że na drugim końcu linii rozległ się śmiech.

- Okej, do zobaczenia za pół godziny.

Niestety zjawił się punktualnie, akurat gdy skończyła karmić Brice'a - synek głośnym płaczem oznajmił, że jest głodny, ledwo odłożyła słuchawkę na widełki. Czyli nie miała czasu zająć się sobą. Paradowała po domu w prostej sukience, w której wyszła po południu na lekcje. Włosy spięła rano w luźny kok, który powoli się rozsypywał, poranny makijaż też już dawno znikł z jej twarzy.

Otworzyła drzwi, trzymając w ramionach dziecko. Bryan skierował na nie wzrok; wargi same rozciągnęły mu się w tkliwym uśmiechu. Czyżby dojrzał w małym podobieństwie do swojego brata? Bo ona, Morgan, czasem widziała drobne gesty czy miny, które bardziej przypisywała Calibornom niż Stevensom.

A może przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę i pocałunek w holu? Przeniósł na nią spojrzenie. Kiedy tak stał, wpatrując się w jej usta, była pewna, że powie coś na ten temat. Nie powiedział, a ona nie wiedziała, czy ma poczuć ulgę, czy złość, gdyż jego milczenie najwyraźniej oznaczało, że pocałunek, który ją wciąż przejmował dreszczem rozkoszy, na nim nie wywarł żadnego wrażenia.

Po chwili Bryan uniósł papierową torbę.

- Zjemy w kuchni?

Skinęła głową, po czym udała się do sypialni po bujany fotelik dla dziecka. W tym czasie Bryan postawił na granitowym blacie talerze i sztucce.

- Coś do picia? - spytał, kiedy wróciła.

- Tak, ale sama sobie wezmę. - Ułożyła Brice'a w foteliku i naląła szklanek mleka.

- A ty? Wolisz mleko czy szkocką?

- Wodę.

Usiedli po dwóch stronach kuchennej wyspy.

- To o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- O paru sprawach. - Podał jej kartonowy pojemnik z gotowanym ryżem. - Po pierwsze, Windy City Industries zamierza uczynić darowiznę na rzecz twojego ośrodka kultury.

Zamrugnęła zdziwiona.

- To ładnie z twojej strony. Ośrodek będzie wdzięczny za każdą sumę.

- Nie chodzi o pieniądze. Chciałbym, żebyś sporządziła listę instrumentów potrzebnych ci do prowadzenia zajęć. Moja firma kupi je, a ja dopilnuję, żeby wszystkie jak najszybciej trafiły do ośrodka.

- Bryan, dziękuję. Aż nie wiem, co powiedzieć. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką frajdę sprawisz dzieciakom.

Machnął lekceważąco ręką.

- Nie ja, tylko firma. My w Windy City wierzymy, że trzeba zachęcać ludzi do działania, a także wspierać różne szlachetne inicjatywy. Uczenie muzyki dzieci z biednych rozbitych domów jest rzeczą godną pochwały. Przedstawiłem zarządowi pomysł zakupu instrumentów. Dziś uzyskałem pozytywną odpowiedź.

- W takim razie podziękuj ode mnie wszystkim w Windy City. - Chociaż próbował się zdystansować, oboje wiedzieli, że ten hojny dar to jego pomysł.

- Teraz inne sprawy. - Zakasłał. - Jeżeli nie nastąpi nagła zmiana planów, to moi rodzice wrócą z Francji za dwa tygodnie.

- Aha. - Groszek niemal utknął jej w gardle.

Wkrótce nadejdzie godzina prawdy.

- Kiedy odpoczną po podróży, zaaranżuję spotkanie.

Raptem Morgan coś sobie uświadomiła.

- Muszę się wyprowadzić! Przecież zechcesz wrócić do swojego mieszkania.

Tak się umówili, kiedy zgodziła się zostać dłużej. Płaciła mu pewną kwotę za wynajem, z tym że on oczywiście nie realizował jej czeków.

- Nie ma pośpiechu - odrzekł.

Odłożyła na bok widelec. Od paru tygodni przeglądała oferty mieszkaniowe; miała na oku dwie kawalerki, które były w zasięgu jej możliwości finansowych. Czas najwyższy wpłacić zaliczkę i podpisać umowę.

- Kiedy chciałbyś się tu wprowadzić?

- Wcale mi się nie spieszy.

- Tak bardzo lubisz swój dawny chłopięcy pokój? - spytała żartobliwym tonem.

- Nawet do niego nie zaglądam. Mieszkam w oddzielnym domku dla gości. Dill też z niego korzystał. Tuż za drzwiami mam własny basen i jacuzzi... Całkiem mi wygodnie.

- To dobrze, bo nie chciałabym sprawiać kłopotu. - Podniosła widelec i zaczęła gmerać w talerzu. - Britney wspomniała, że znacznie wydłużyła ci się droga do pracy.

Skrzywił się.

- Straszna z niej gaduła.

- Pewnie nie powinnam tego mówić, ale ta dziewczyna się w tobie durzy.

Może to była tylko kwestia oświecenia, ale Morgan dałaby głowę, że Bryan się zaczerwienił. Czuł się wyraźnie speszony.

- Pomijając fakt, że jako szef wolałbym nie być oskarżony o molestowanie pracownicy, to Britney zupełnie nie jest w moim typie.

- To samo powiedziała o mnie. Że nie jestem w twoim typie. - O Chryste! Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Zamiast tego brnęła dalej. - A jaki jest twój typ?

Świdrował ją wzrokiem. Kto inny pewnie by się skulił lub zaczął nerwowo wiercić, ona nawet nie mrugnęła. Po chwili podniósł serwetkę i złożył ją na pół.

- Dawniej wiedziałem, czego pragnę - oznajmił cicho. - Teraz nie jestem pewien...

Świetnie go rozumiała. Nigdy nie marzyła o wysokim posepnym brunecie, ale ostatnio coraz częściej...

- Co do mieszkania - ciągnął, wyrywając ją z zadumy - nie spiesz się z wyprawką. Mnie twoja obecność w niczym nie przeszkadza. Natomiast rodzice... jak tylko odpoczną po podróży, wszystko im wytłumaczę i zaaranżuję spotkanie.

- Wolałabym, żebyś nas zwyczajnie umówił. „Aranżowanie” spotkania brzmi urzędowo, jakby chodziło o biznes i pieniądze. A te mnie nie interesują; interesuje mnie rodzina. Chciałabym, żeby mój syn miał dziadków. - Przekrzywiła głowę. - Wujek też by się przydał. Chyba nie mam przesadnych wymagań?

Nie, nie miała. Bryan poczuł, jak topnieje jego nieufność. Morgan była taka prostolinijna, taka pragmatyczna; w nic nie grała. Stąpała twardo po ziemi, dźwigając na swych barkach brzemień odpowiedzialności za syna.

- Cholera jasna, coś ty widziała w moim bracie? - spytał nagle.

Wytrzeszczyła oczy.

- Ja...

- Nie, nie odpowiadaj! - Wstał tak szybko, że potracił szklanę. Woda wylała się na granitowy blat, potem spłynęła na podłogę, tworząc niedużą kałużę.

Morgan poderwała się na nogi i chwyciwszy ściereczkę, wysuszyła blat. Kiedy schyliła się, by przetrzeć podłogę, Bryan kucnął obok.

- Przepraszam, głupio to zabrzmiało. Dillon miał mnóstwo wad, ale był dobrym człowiekiem.

Tęsknił za bratem.

- Wiem - szepnęła Morgan. Oboje wstali. - I cieszę się, że tak uważasz. Bo chciałabym, żebyś mi kiedyś o nim opowiedział. Wszystko to, co mogłabym później przekazać Brice'owi o jego ojcu.

Wrzuciła mokrą ścierekę do zlewu, a potłuczoną szklanę do śmieci.

- Myślałaś, że żywię do brata negatywne uczucia? - zdumiał się Bryan. - Dlaczego?

Usiadła z powrotem na stołku.

- Choćby sprawa imienia. Niektórym by to przeszkadzało, a odnoszę wrażenie, że Dillon wielokrotnie przedstawiał się jako ty.

- To prawda. - Bryan również zajął miejsce przy wyspie. - Po wypadku w Vail policja zawiadomiła moich rodziców, że to ja zginąłem. Ponieważ akurat jadłem z nimi kolację, domyśliliśmy się, że chodzi o Dilla. Jeszcze przez kilka godzin łudziliśmy się, że może zaszła pomyłka i Dillon zaraz zjawi się w domu.

- To straszne.

- Poleciałem do Vail, żeby dokonać identyfikacji zwłok. - Na wspomnienie brata leżącego na zimnej metalowej płycie poczuł bolesny ucisk w piersi.

- Mój Boże, przeżyłeś piekło.

- Lepiej że to byłem ja niż matka lub ojciec. Żaden rodzic nie powinien być na to narażony.

- Rodzice nie powinni tracić dzieci.

Ból w klatce piersiowej wzmógł się. Stracić dziecko można na wiele sposobów.

Morgan położyła rękę na jego ramieniu. Zdziwił się, że niewinny dotyk może po-działać tak kojąco.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego Dillon to robił? Dlaczego podszywał się przede mną? - Kiedy skinęła głową, uznał, że wyzna jej prawdę. Powinna ją znać. - Był kompletnie splukany.

Jeżeli była zawiedziona, nie dała tego po sobie poznać.

- Każdemu z nas dziadek zostawił pokaźny fundusz powierniczy. Ja większość swoich pieniędzy zainwestowałem. Dill swoje wydał, i to jeszcze zanim skończył studia.

- Po studiach nie pracował? - Dopiero teraz w jej głosie pojawiła się nuta zawodu.

- Zajmował kierownicze stanowisko w firmie. - Ojciec chętnie mianowałby Dilla wiceprezesem, gdyby ten wykazał jakąkolwiek inicjatywę lub choćby minimum zainteresowania. - Czasem przychodził do pracy, ale nie przestrzegał żadnych godzin. On... właściwie nigdy nie dorósł.

- Więc udawał, że jest tobą? A ty pozwalałeś mu używać swojej karty? - spytała z naganą, a zarazem niedowierzaniem.

- Był moim bratem. Troszczyłem się o niego. - Bryan przypomniał sobie ostatnią wiadomość, jaką nagrał Dillowi na sekretarkę; znów ogarnęły go wyrzuty sumienia. - Od dzieciństwa się o niego troszczyłem.

- Może dlatego nie dorósł? Bo nigdy nie musiał martwić się o konsekwencje swoich czynów?

Wstąpiła w niego złość; zastąpiła smutek i ból, a jemu pozwoliła spojrzeć trzeźwym okiem na dziewczynę, której nie miał prawa pożądać. Była kochanką Dilla. Matką jego dziecka.

- Nie prosiłem cię o opinię - warknął, choć zdawał sobie sprawę, że Morgan jedynie wypowiedziała na głos to, o czym sam myślał. Że on i rodzice niepotrzebnie usuwali Dillowi przeszkody przed nóg.

- Przepraszam - rzekła. - Nie chciałam cię osądzać. Wszyscy mamy jakieś wady, a Dillon, jak sam powiedziałeś, był w sumie dobrym człowiekiem. - Popatrzyła Bryanowi w oczy. - Właśnie to usłyszysz ode mnie mój syn.

- Dziękuję.

- Wiesz, że nigdy nie wzięłeś go na ręce?

Zamiast udawać, że nie wie, o czym Morgan mówi, po prostu zignorował pytanie i nabrał na widelec odrobinę słodko-kwaśnej wieprzowiny.

- Ciekawe, co cię powstrzymuje? - Nie zamierzała ustąpić.

Chryste, ale ona jest uparta! I wie, gdzie uderzyć. Znał wielu zatwardziałyh negocjatorów, którzy łatwiej odpuszczali. Z opresji wybawił go Brice, który ni stąd, ni zowąd cichutko zwymiotował na pizamkę.

Morgan pochyliła się nad synkiem.

- Przepraszam. Dopiero się uczymy dobrych manier.

- Nic się nie stało.

Zmarszczyła czoło.

- Nie brzydzi cię to?

- Przecież to dziecko.

- Wielu mężczyzn by się krzywiło, chyba że sami byliby tatusiami.

Wytarłszy serwetką moką plamę, wyjęła Brice'a z fotelika. Nie zauważyła, jaki efekt jej słowa wywarły na Bryanie.

Kiedy opuściła kuchnię, Bryan wrzucił swój niedokończony posiłek do kosza na śmieci. Na skutek silnych emocji stracił apetyt. Postanowił wyjść, zanim Morgan zacznie zadawać więcej pytań, na które nie chciał odpowiadać. Niektórych odpowiedzi sam nie był już pewien.

Ruszył w stronę pokoju gościnnego, żeby się pożegnać, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Słyszał, jak Morgan rozmawia cicho z dzieckiem. Ponieważ była zajęta, uznał, że ją wyręczy i sam otworzy drzwi.

Jego oczom ukazała się Courtney w głęboko wyciętej czarnej sukni i szpilkach na nogach. Dawniej byłaby idealnym lekarstwem na chandrę, dziś jednak patrzył obojętnie na jej usta rozciągnięte w wabiącym uśmiechu.

- Portier mówił, że cię zastanę. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam? Właśnie świętuję piątą rocznicę rozvodu. - Wysunęła zza pleców butelkę Dom Perignon. - Przyłączysz się? Nienawidzę pić samotnie.

Zerknął nerwowo przez ramię.

- Ja... właśnie zamierzałem wyjść.

- Spiesz ci się? Zostańmy chwilę. - Weszła do holu.

- Nie tutaj...

- Dobrze, jedźmy do mnie.

Skorzystaj z okazji, polecił sobie. Jedź do niej i na kilka godzin zapomnij o Bożym świecie. Tak robił w przeszłości.

- Nie dzisiaj. - Potrząsnął głową.

- Nie jesteś w nastroju? - spytała. Uwielbiała wyzwania. Postawiła na stoliku butelkę, obok położyła torebkę. - Może zdołam cię przekonać? - zamruczała.

Zanim objęła go za szyję, zacisnął ręce na jej nadgarstkach. Zbliżywszy dłonie Courtney do ust, złożył na nich pocałunek. Nie była to żadna pieszczota, żadna gra wstępna; przeciwnie, było to pożegnanie.

Courtney z miejsca to wyczuła. W pierwszej chwili lekko zeszywniała, po czym roześmiała się dźwięcznie.

- Kim ona jest, Bryan? Tylko nie mów, że to ta zadzierająca nosa sekretarka, która usiłuje mnie zabić spojrzeniem, ilekroć wpadam do ciebie do biura.

Cholera, naprawdę musi odbyć z Britney poważną rozmowę. Na razie jednak skupił się na teraźniejszości.

- Nie znasz jej.

Courtney oswobodziła ręce; przyglądała mu się z uwagą.

- Zależy ci na niej?

Popatrzył w głąb korytarza.

- To nie tak, jak myślisz.

- Nie? Gdyby nie było tak, jak myślę, nadal byłbyś zainteresowany tym, co ci mogę dać.

- Masz mnóstwo do zaoferowania - przyznał. - Jesteś cudowną kobietą.

Ponownie sięgnął po jej piękne dłonie ozdobione kosztowną biżuterią i jeszcze raz złożył na nich pocałunek. Chciał ją przeprosić...

- Przepraszam. - Nie on wypowiedział te słowa, lecz Morgan, która wyłoniła się z pokoju gościnnego, trzymając w ramionach przebranego w czystą piżamkę Brice'a.

Przez moment Bryan milczał. Czyżby widział w jej oczach wyraz zawodu?

- No tak - powiedziała Courtney. - Teraz rozumiem, dlaczego „nie tutaj”.

- Courtney Banks, Morgan Stevens - Bryan przedstawił sobie kobiety. - Morgan jest... ona i mój świętej pamięci brat... - Wykonał nieokreślony ruch ręką.

Courtney skinęła głową.

- Rozumiem.

- Bryan, przepraszam. Nie chciałam ci przeszkadzać. - Morgan spuściła wzrok. - Przyszłam powiedzieć, że muszę małego uspić...

- I tak zamierzałem już wyjść. - Dlaczego czuł się jak ostatni drań? Nie miał nic do ukrycia. Nie zachował się niewłaściwie. Nagle przypomniał sobie ich pocałunek. Kłama! ca!

- Dzięki za chińszczyznę. Miło mi było panią poznać, Courtney.

- Mnie panią również.

Courtney wzięła ze stolika torebkę i butelkę szampana. Wyglądało to tak, jakby wychodzili razem, a przecież każde szło we własną stronę. Lecz Morgan o tym nie wiedziała. Może to i lepiej, pomyślał Bryan.

- Odezwę się, jak wrócą rodzice.

Skinęła z wymuszonym uśmiechem głową i bez słowa zamknęła za gośćmi drzwi.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedział Bryan, kiedy wsiedli z Courtney do windy.

Drogę w dół odbyli w milczeniu. Był wdzięczny, że Courtney nie zasypuje go pytaniami. Wyszędłszy z budynku, skręcili w stronę sportowego czerwonego auta zaparkowanego w niedozwolonym miejscu.

- Masz szczęście, że cię nie odholowano.

- Ach, uwielbiam życie na krawędzi - powiedziała ze śmiechem, po czym poważniejszym tonem dodała: - Uważaj na siebie, Bryan. Nie pozwól się skrzywdzić.

- Morgan... Nic nas nie łączy.

- Ale chciałbyś, żeby łączyło, prawda?

Zignorowawszy pytanie, otworzył jej drzwi.

- Mnie nie można skrzywdzić.

- Można. I ciebie można, i mnie można. Tylko musi się trafić odpowiednia osoba. Obojgu nam w przeszłości zadano ból, dlatego tak dobrze było mi z tobą. Czułam się bezpiecznie.

- Było nie tylko dobrze; było ekscytująco - powiedział, próbując złagodzić ich rozstanie.

Zatrzepotała zalotnie rzęsami.

- Och, tak. Kto wie, może nawet zatęsknię za tobą? - Wskazała głową na budynek, z którego przed chwilą wyszli. - Jeśli nie ułoży ci się tak, jak tego pragniesz, zadzwoń. Do tego czasu szampana już wypiję, ale może kupię nowego?

Uśmiechnął się, ale niczego nie obiecał. Po rozwodzie przestał składać obietnice. A może nie spotkał kobiety, której chciałby cokolwiek przyrzec? Aż do teraz.

TTLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Denerwowała się, czekając na telefon od Bryana. Nie, wcale nie dlatego, że winien jej był wyjaśnienie. Wcale nie dlatego. Co prawda dziwiło ją, że można się tak namiętnie całować i słowem nie wspomnieć, że ma się narzeczoną - piękną, zgrabną, idealnie uczesaną i umalowaną, która wygląda tak, jakby zeszła z okładki magazynu. Nie, po prostu chciała wiedzieć, czy już rozmawiał z rodzicami i jak oni zareagowali na wieść o wnuku.

Już wcześniej czuła niepokój zmieszany z lękiem na myśl o poznaniu państwa Calibornów. Teraz czuła niepokój do kwadratu. Podczas krótkich wakacji na Arubie zaszła w ciążę z ich młodszym synem, a zaledwie kilka miesięcy po urodzeniu Brice'a nie mogła przestać myśleć o ich starszym synu. Jak ją potraktują? Kogo zobaczą, kiedy będą na nią patrzeć? Oportunistkę? Kobietę rozpustną, niemoralną?

Jaki będzie ich stosunek do Brice'a? Czy będą wąpić w ojcostwo Dilla? Czy zażądadają wykonania testów DNA? Była zdumiona, że Bryan o to nie poprosił. Wprawdzie odnosił się do malca z większą sympatią, ale nadal zachowywał dystans.

W piątek, dwa tygodniu po jego wizycie, Morgan była kłębkiem nerwów. Gdyby nie praca w ośrodku, chyba by zwariowała ze zdenerwowania. A tak została dłużej, żeby z jedną z uczennic poćwiczyć gamy. Carla miała dziesięć lat, zapisała się na zajęcia tydzień temu. Była cichą, nieśmiałą dziewczynką, ale podobnie jak pozostali uczniowie, kochała muzykę.

Poruszała niezdarnie palcami po klawiaturze. Pomyliła się raz i drugi, przerwała, zaczęła od nowa, znów się pomyliła.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, kotku. Po prostu ćwicz. To jedyna różnica między tobą a mną. Ja mam za sobą lata ćwiczeń.

- Czy ja kiedyś będę tak dobrze grała jak pani?

- Jeśli się postarasz, to może nawet lepiej. Pamiętaj tylko, żeby mnie zaprosić na swój koncert w Carnegie Hall.

- Pani tam występowała?

- Tak, dwukrotnie. No, nie mów tyle, tylko graj.

Dziewczynka uśmiechnęła się i zaczęła od początku; doszła do końca z jednym niedużym błędem. Brice, który siedział w foteliku obok pianina, zapiszczał radośnie.

- Widzisz? Nawet mały uważa, że robisz postępy.

- Bardzo pani dziękuję za dodatkową lekcję.

- Cieszę się, Carlo, że mogłam ci pomóc. Czy ktoś po ciebie ma przyjechać?

- Tak, mama. Prosiła, żebym czekała na zewnątrz. Wtedy nie musi szukać miejsca do parkowania.

- W porządku. To leć. Miłego weekendu. Morgan wstała i zgarnęła nuty. Kiedy obróciła się, zobaczyła Bryana z marynarką niedbale przewieszoną przez ramię. Oparty o drzwi, za którymi przed chwilę znikła dziewczynka, przyglądał się jej uważnie. Nic nie była w stanie wyczytać z jego oczu.

- Jak długo tu stoisz? - zapytała.

- Wystarczająco długo. Carnegie Hall, w dodatku dwukrotnie? Musisz być naprawdę dobra.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Przyszedłeś na lekcję?

- To zależy.

- Zależy?

- Od tego, czego możesz mnie nauczyć.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Oprócz pianina gram na oboju i klarncie. Nieźle mi też idzie na seksie... saksie - poprawiła się szybko.

Bryan uniósł brwi, na szczęście nie skomentował jej przejęzyczenia. Odkleiwszy się od drzwi, wszedł do sali.

- Rodzice są już w domu. Rozmawiałem z nimi. Bardzo chcą zobaczyć Brice'a, no i oczywiście poznać ciebie.

Czyli jestem na doczepkę, pomyślała Morgan. Trudno. Dziecko jest ważniejsze.

Mały zaczął cichutko gaworzyć i pulchnymi piąstkami usiłował dosięgnąć kolorowych kółek, jakie jego mama zaczepiła o uchwyty fotelika. Bryan uśmiechnął się, po

czym przełknąwszy ślinę, odwrócił wzrok. Czy widział w dziecku podobieństwo do swojego brata? Czy bardzo za nim tęsknił? Może dlatego stawał się taki posępny, kiedy patrzył na Brice'a? Morgan powściągnęła ciekawość. Najpierw chciała zadać inne pytania.

- Kiedy rodzice chcą mnie poznać? I gdzie możemy się spotkać?

Położył marynarkę na pianinie, a sam usiadł na ławce.

- Powiedzieli, że dostosują się do ciebie.

Usiadła obok Bryana. Ławka była krótka, więc stykali się biodrami. W powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej; Bryan tak samo pachniał, kiedy się całowali. Oddychając głęboko, usiłowała się skupić na sprawach bieżących.

- Im szybciej...

- Tym lepiej - dokończył za nią. - Oni są tego samego zdania.

Wpatrywał się w jej usta. Wydawało jej się, że zaraz ją pocałuje. Ale nie. Wstał i odszedł parę kroków.

- Może za tydzień? W sobotę? - Miałaby czas przygotować się do rozmowy, zastanowić, co chce powiedzieć, a także znaleźć dla siebie i dziecka odpowiedni strój.

- Pozostaje zatem wybór miejsca.

- Nie bardzo mogę zaprosić ich do twojego apartamentu. Chociaż pewnie wiedzą, że tam mieszkam, skoro ty mieszkasz w ich domku gościnnym.

- Tak. Uważają, że postąpiłem bardzo szlachetnie.

- Ciekawe, co myślą o moim postępowaniu? - Obróciwszy się przodem do instrumentu, zagrała otwierające akordy jednego ze swoich ulubionych koncertów. - Moglibyśmy się wybrać do restauracji, ale to mi się wydaje takie bezosobowe. Nie mówiąc o tym, że nie moglibyśmy swobodnie rozmawiać. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Może moje nazwisko nie jest tak znane jak wasze, ale ja też nie chciałabym trafić na łamy brukowców.

- Wobec tego proponuję, żebyś przyjechała z małym do Lake Forest.

Przerwała grę.

- Mam się wprosić do domu twoich rodziców? Może jeszcze powiedzieć, co najchętniej zjadłabym na lunch?

Parsknął śmiechem.

- Śmiało. Wszystko przekażę.

- Bryan, mówię poważnie.

- Ja też. Lake Forest to najlepsze miejsce na spotkanie.

Westchnęła. Miał rację.

- No dobrze.

- Czyli załatwione. - Wsunął ręce do kieszeni. - Wracasz do domu?

Skinęła głową.

- A ty?

- Wstąpię gdzieś na kolację. W domku gościnnym nikt nie szykuje mi posiłków.

Uśmiechnęła się.

- Mnie też nie, za to nie muszę się troszczyć o pranie, sprząatanie i zakupy. Co za wygoda! Rozleniwie się.

- Ty? Wątpię.

Kobieta, która za marne grosze pracuje w ośrodku kultury, pokazując dzieciom z biednych domów, jaką radość można czerpać z muzyki, twardo stąpa po ziemi. Na pewno nie leży do góry brzuchem i nie buja w obłokach. Nagle poczuł ochotę ulżyć jej w trudach życia; zasługiwała na to, żeby być hołubiona, rozpieszczana...

Zatrzymał wzrok na jej ustach i przypomniał sobie pocałunek. Bał się uczuć, jakie w nim wzbierały. Jego relacje z Courtney były cudownie proste i jasne: nie okłamujemy się, nie przywiązujemy do siebie, nie mówimy o wspólnej przyszłości. Dlatego podczas rozstania żadne z nich nie ucierpiało, nie czuło się skrzywdzone, nie żądało wyjaśnień.

- Courtney i ja... - zawahał się. Dlaczego to mówi? - Już się nie spotykamy.

Morgan uniosła nieznacznie brwi.

- Tak? Przykro mi.

- Naprawdę?

Odwróciła spojrzenie.

- Oczywiście. Sprawiała sympatyczne wrażenie. I jest niezwykle atrakcyjna. Stanowiliście ładną parę.

- Tak sądzisz?

- Tak. Oboje... - wzruszyła ramionami - przykuwacie wzrok.

Nie był próżnym człowiekiem. Ani takim, który musi mieć polechtane ego. Mimo to spytał:

- Przykuwam wzrok, powiadasz?

- Masz bardzo silną osobowość.

Roześmiał się.

- Niektórzy twierdzą, że onieśmielającą. Że stale przybieram groźną pozę.

- A przybierasz?

- Czasami. To pomaga.

Pokręciła głową.

- Pomaga? A ja uważam, że przeszkadza, zwłaszcza w życiu prywatnym. Długo byliście razem, ty i Courtney?

Zamyślił się.

- Właściwie od mojego rozvodu.

- Kilka lat. Zatem nie była to przelotna znajomość.

- Przelotna nie, ale nie przysięgaliśmy sobie dożgonnej miłości. To raczej była przyjaźń.

- Mam nadzieję, że moja obecność w twoim mieszkaniu nie przyczyniła się do waszego rozstania.

- Ależ skąd - zapewnił ją. Ale skłamał. Nagle uświadomił sobie, że zdecydowanie się przyczyniła. Bo przyjaźń już mu nie wystarczała, pragnął czegoś więcej. Zmarszczył czoło. - Nie wiem, co takiego jest w tobie, że...

- Że?

Nie dokończył rozpoczętego zdania; zamiast tego powiedział:

- Nie umiem cię rozgryźć.

- To dlaczego próbujesz?

- Z przyzwyczajenia. - Nie odrywał oczu od jej twarzy. - Jesteś niebezpieczna.

Wiesz o tym?

Zdziwiona zamruwała powiekami.

- Niebezpieczna? Ja?

O tak. Odkąd ją poznał, stale mu towarzyszyła. Nie potrafił się od niej uwolnić. Pragnął odzyskać spokój, lecz jeszcze bardziej pragnął... jej samej.

Psiakość, powinien ruszać w drogę. Niepotrzebnie tu przyjechał. Mógł zadzwonić, umówić się przez telefon. Ba, mógł poprosić Britney, by zadzwoniła. Ale cóż, chciał się z nią zobaczyć i uznał, że lepiej w miejscu publicznym niż w apartamencie, gdzie byłiby sami.

Nagle wewnętrzny głos szepnął mu do ucha, że restauracja też jest miejscem publicznym. Cóż mogłoby się wydarzyć w sali pełnej gości oraz kelnerów?

- Czy ty i Brice wybralibyście się ze mną na kolację?

- Teraz?

- Tak.

- Nie, przykro mi. Kończy nam się zapas pieluch, poza tym wkrótce mały zacznie domagać się jeść.

- Rozumiem.

- Może kiedy indziej?

- Jasne.

Było gorąco, gdy godzinę później dotarł do domu. Kiedy wstąpił do ośrodka kultury, by zobaczyć się z Morgan, doskwierał mu lekki głód. Teraz czuł ssanie w żołądku, które nie miało nic wspólnego z tym, że nie jadł kolacji.

Minął dom rodziców, choć wiedział, że ucieszyliby się z jego wizyty i poprosili kucharkę, by przygotowała mu coś do jedzenia, otworzył drzwi domku gościnnego, w którym mieszkał, zrzucił garnitur, włożył spodenki kąpielowe.

Po chwili wskoczył do basenu. Kilka silnych ruchów ramion wystarczyło, aby znalazł się na przeciwnym brzegu. Zanurkowawszy, odbił się nogami od ściany. Zimna woda chłodziła rozgrzane ciało, wysiłek fizyczny łagodził frustrację. Kiedy dwadzieścia minut później Bryan wyszedł z wody, natknął się na matkę, która czekała z ręcznikiem.

- Rozmawiałeś z nią? - spytała Julia Caliborn, kiedy oddech mu się uspokoił.

- Tak. Zaproponowałem, żeby tu przyjechała.

Kobieta skinęła głową.

- Świetnie. Byleby nie czuła się onieśmielona.

Parsknął śmiechem.

- Jej chyba nic nie jest w stanie onieśmielić.

- Tak?

- Umówiliśmy się za tydzień w sobotę. Godziny nie ustalaliśmy. Nie wiedziałem, jaka ci najbardziej odpowiada.

- Może koło pierwszej? Zjedlibyśmy razem lunch. - Potarła nerwowo dłonie. - Nie orientujesz się, na co miałyby ochotę?

Przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę z Morgan i zrobiło mu się wesoło.

- Nie. Ale jeśli chcesz, mogę ją spytać.

- Och, tak. Koniecznie. Chciałabym, żeby wszystko wypadło idealnie. Boże kochany... - Przyłożyła rękę do ust. - Wprost nie mogę uwierzyć!

- Mamo... - zawahał się. - Nie ma żadnych dowodów, że to naprawdę dziecko Dilla.

- Wiem, już mówiłeś. - Julia miała pretensje, że nie zawiadomił ich wcześniej o pojawieniu się Morgan z dzieckiem. Hugh też nie był z tego powodu zadowolony, ale on przynajmniej rozumiał, co synem kierowało. - Przyjechała do Chicago pod koniec maja. Dlaczego do tej pory nie postarałeś się o dowody?

Wystarczyłaby odrobina śliny Brice'a i jego, Bryana. Ponieważ Dillon nie żył, był to jedyny - poza ekshumacją zwłok - sposób na ustalenie więzi pomiędzy dzieckiem a Calibornami.

- Kolejny test na ojcostwo? Wyobrażasz sobie skandal, jaki by wybuchł, gdyby dziennikarze coś zwęszyli? Z powodu kryzysu ekonomicznego nasi inwestorzy mają dość zmartwień na głowie.

- Wiem, kochanie. Ale ty ją znasz. Rozmawialiście. Widziałeś dziecko. Myślisz, że Morgan kłamie, twierdząc, że Dillon jest ojcem malca?

- Nie, na pewno nie kłamie...

- Ale co? Że... - Julia urwała, niepewna, jak to ująć - że może się mylić?

„Nie jestem rozwiązła”. Słowa Morgan zadźwięczały mu w głowie. Nic nie wskazywało na to, aby była niemoralna, więc dlaczego nie odwołał detektywa? Dlaczego nie potrafił zaakceptować tego, co Morgan mówi, i uwierzyć, że Brice jest jego bratankiem?

Może ze strachu? Z powodu emocji, jakie w nim wzbudzała? Przeklinając pod nosem, odgarnął z czoła mokre kosmyki.

- Sam nie wiem, co myśleć, mamó.

Julia przyłożyła dłoń do policzka syna. Tę samą dłoń, która w dzieciństwie kołała jego ból. Niestety tym razem czuły dotyk matczynej dłoni nie mógł sprawić, by problemy znikły.

- Cała ta sytuacja musi być dla ciebie bardzo ciężka, Bryan.

- Odżyło wiele wspomnień - przyznał. - Niezbyt przyjemnych. Kilka tygodni temu Caden skończył pięć lat. Wciąż o nim rozmyślam.

- Wiem, kochanie.

- Dzień, w którym przyszedł na świat, był najszcześniejszym dniem w moim życiu.

- Bryan towarzyszył żonie w sali porodowej; oszołomiony patrzył na cud narodzin. - Ja pierwszy trzymałem Cadena na rękach... - szepnął.

Pierwszy trzymał syna, a jako jeden z ostatnich dowiedział się o dwulicowości Camilli, kiedy wyniki testów DNA przedostały się do prasy.

- Myśmy też go kochali - przypomniała mu ze łzami w oczach matka. - To, jak Camilla postąpiła, jak swoimi kłamstwami skrzywdziła i ciebie, i nas, było ohydne. Okrutne. Ale kiedyś, dla własnego zdrowia, trzeba zapomnieć o przeszłości i zacząć żyć od nowa. Boleję nad tym, że wciąż jesteś sam.

- Nie czuję się samotny - zaprotestował.

Uśmiechając się smutno, matka ponownie pogładziła go po twarzy. Chociaż nic nie powiedziała, widać było, że mu nie wierzy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez cały następny tydzień Morgan ciągała swoje biedne dziecko od sklepu do sklepu, próbując znaleźć dla siebie odpowiedni strój na spotkanie z Calibornami. Z rzeczy, które miała w szafie, nic się nie nadawało. No, może poza sukienką, którą Britney jej kupiła na wypadek, gdyby w drodze ze szpitala do domu natknęła się na paparazzich. Z oczywistych powodów sukienka jej nie kusiała.

Zresztą od tamtego czasu straciła parę kilogramów i sporo centymetrów w talii. Chciała się nacieszyć nową figurą; zawdzięczała ją jodze i bieganiu. Nie, nie wkładała sportowych butów i nie ganiała w upale po parku. Po prostu kilka tygodni temu samochód zaczął jej odmawiać posłuszeństwa, więc często chodziła pieszo.

Na ogół po trzech lub czterech minutach silnik zaskakiwał, toteż zwlekała z oddaniem auta do warsztatu. Dziś jednak silnik zawył żałośnie, po czym zgasł na dobre. Wezwała mechanika, niejakiego Vica, i miała jedynie nadzieję, że facet nie policzy drożej za naprawę tylko dlatego, że właścicielka jest kobietą.

Starła się o tym nie myśleć. Na razie miała większe zmartwienia na głowie, na przykład co włożyć na wizytę u rodziców zmarłego ojca dziecka. Wybranie ubranka dla Brice'a było łatwe. Przed jej wyjazdem z Wisconsin przyjaciele zorganizowali dla niej przyjęcie i obsypali ją prezentami; między innymi dostała maleńki strój marynarski. Natomiast problem miała ze znalezieniem czegoś dla siebie.

Z krótkiej rozmowy z Bryanem wiedziała tylko tyle, że Calibornowie czekają na nią w Lake Forest w sobotę o godzinie pierwszej po południu. Jeśli pogoda dopisze, zjedzą lunch w ogrodzie. Nie bardzo wierzyła, że zasiądą przy stole piknikowym i będą pałaszować hamburgery z frytkami. Raczej małe eleganckie kanapeczki z cieniutko pokrojonym ogórkiem, kielkami lucerny, rukwią.

- Nie lubię rukwi - szepnęła, przeglądając ubrania na wyprzedaży w Danbury's.

Był to trzeci dom towarowy, który dziś odwiedziła; trzeci i ostatni, bo po południu miała zajęcia w ośrodku. Ją i Brice'a czekała jazda kolejką, potem przesiadka do autobusu i wreszcie kawałek na piechotę. Samochodem byłoby znacznie wygodniej.

Z ostatniego wieszaka zdjęła żółtą sukienkę na ramiączkach. Przyłożywszy ją do siebie, popatrzyła na synka.

- Podoba ci się? - spytała. - Jest o połowę tańsza niż przed obniżką.

Mały ziewnął szeroko; najwyraźniej strój nie wywarł na nim wrażenia.

- Masz rację. W tym kolorze nie będzie mi do twarzy.

Wzdychając ciężko, odwiesiła sukienkę na miejsce.

Kolejne dwie godziny zmarnowane. A może nie, pomyślała na widok zielonego kostiumu na manekinie. Krótki żakiet, rękawki trzy czwarte, podwójny rząd perłowych guziczków, do tego lekko rozkloszowana spódnica podkreślająca talię, a ukrywająca brzuch, którego jeszcze nie straciła. Morgan podjechała bliżej z wózkiem i wstrzymując oddech, sięgnęła po kartkę z ceną.

- O Chryste! - jęknęła.

Modliła się w duchu, żeby nie było jej rozmiaru. Modły nie zostały wysłuchane.

- Pewnie źle będzie na mnie leżał.

- Może zaniosę to do przebieralni? - zaproponowała ekspedientka.

Morgan obróciła się i wystraszona skinęła głową.

Kostium wcale źle nie leżał; leżał fantastycznie. Nawet Brice zaczął radośnie gaworzyć, kiedy stanęła przed wielkim lustrem.

- I jak? - spytała zza drzwi ekspedientka.

- Znakomicie leży i strasznie się sobie podobam. Ale mam mały problem. - Poza ceną, pomyślała, podziwiając swoje odbicie w lustrze. - Potrzebuję odpowiednich butów.

Wyszła ze sklepu objuczona. Kupiła nie tylko zielony kostium i parę drogich szpilek z wycięciem na palec, ale również nową torebkę, poza tym umówiła się na jutro w salonie kosmetycznym. Starła się nie myśleć, o jaką sumę pomniejszyła stan swojego konta.

Późnym wieczorem, kiedy Brice już smacznie spał, usiadła przy kuchennym stole i popijając ziołową herbatę, zaczęła sprawdzać rachunki. Tym bardziej że po powrocie do domu zastała wiadomość od mechanika, który sporządził wstępny kosztorys. Naprawa samochodu będzie kosztowała tylko odrobinę mniej niż dzisiejsze zakupy. Oj, chyba trzeba będzie się zadłużyć.

Jeszcze raz dodała liczby i westchnęła cicho. Powinna jak najszybciej znaleźć normalnie płatną pracę, zapewniającą świadczenia zdrowotne i emerytalne. Zrobiło jej się smutno. Lubiła зараżać dzieci miłością do muzyki.

Bryan zazwyczaj nie odbierał komórki w trakcie kolacji, ale kiedy zobaczył na wyświetlaczu nazwisko dzwoniącego, przeprosił rodziców i udał się do gabinetu ojca. Dzwonił Gil Rogers, prywatny detektyw, którego prosił o zbadanie przeszłości Morgan.

Kilka godzin temu Bryan nagrał mu się na pocztę głosową.

- Gil? Dzięki, że oddzwoniasz.

- Powiedziałeś, że to ważne.

- Tak, odwołuję zlecenie. Uznałem, że nie potrzebuję żadnych informacji o panie Stevens. Oczywiście zapłacę ci za czas, który poświęciłeś tej sprawie.

- Jesteś pewien swojej decyzji? - Detektyw roześmiał się cicho. - Prawdę mówiąc, nie dziwię się. Gdyby nie to, że ma dziecko, byłaby idealną kandydatką na zakonnicę. Przez cały okres studiów miała może ze dwóch chłopaków; po studiach czasem ktoś ją zapraszał na kolację czy do kina, ale nie miała żadnego poważnego związku.

- Z nikim się nie spotykała w czasie, gdy dziecko zostało poczęte?

- Jej znajomi twierdzą, że nie. - Na moment detektyw umilkł. - Dowiedziałem się czegoś, co nie ma związku z jej ciążą, ale pomyślałem sobie, że może ciebie zaciekać.

- Mów.

- Oboje jej rodzice nie żyją.

- Tak, wiem.

- Zginęli w swoim domu w Brookside. Z gazet, które odkopałem, wynika, że śmierć nastąpiła w wyniku zezadzenia. Podobno przyczynił się do tego zepsuty odpowietrznik.

- Boże. - Bryan opadł na fotel, wstrząśnięty informacją.

- Panna Stevens ich znalazła - kontynuował detektyw. - Leżeli w łóżku. Po prostu wieczorem poszli spać i zmarli we śnie. Na zdjęciu, jakie towarzyszyło jednemu z artykułów, widać, jak zrozpaczona panna Stevens osuwa się w ramiona strażaka, który przyjechał na miejsce zdarzenia.

Bryan zamknął oczy, usiłując sobie wyobrazić, co Morgan musiała przeżywać.

„Nie mam nikogo”, powiedziała kilka miesięcy temu, kiedy zaczęła rodzić w jego gabinecie, a on spytał, do kogo mógłby zadzwonić.

- Kiedy... to się stało? Kiedy zginęli?

- Zeszłej wiosny.

Powoli wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Przypuszczalnie kilka miesięcy po pogrzebie wybrała się na Arubę. Była smutna, samotna, bezbronna.

„Przechodziłam bardzo ciężki okres w życiu. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Po prostu tak było”.

Przypomniał sobie ich rozmowę w jego apartamencie. W przeciwieństwie do Dilla, który zawsze szukał dla siebie usprawiedliwień, Morgan nie próbowała zwałać winy na żalobę, którą wciąż przeżywała, czy potrzebę choćby chwilowego zapomnienia się. Tak samo nie twierdziła, że zakochała się po uszy w Dillonie. Nie próbowała wzbudzić w Bryanie współczucia. Przyjęła na siebie całą odpowiedzialność.

Oczywiście wypisała mu czek za użyczenie mieszkania. Podarł go. Przysłała dwa kolejne, po jednym za każdy miesiąc, kiedy mieszkała w apartamencie. Dillon ciągle posługiwał się jego imieniem oraz kartą kredytową, a Morgan nie chciała nawet przyjąć jego gościny.

Może dlatego, że zachowywał się tak chłodno i powściągliwie?

- Koniec z tym - szepnął pod nosem.

- Słucham?

- Tak jak powiedziałem, odwołuję zlecenie.

- Rozumiem, ale... rzecz w tym, że rozpuściłem wici. Panna Stevens mieszkała w niedużej mieścinie; wszyscy się tam znają i niechętnie opowiadają obcym o swoich sąsiadach. Czy mam czekać na informacje, czy...

- Nie, nie czekać. Zamykamy sprawę. Podlicz, ile jestem ci winien.

- W porządku. Przyślę pisemny raport i rachunek.

Rozłączywszy się, Bryan rzucił komórkę na biurko, po czym ze stojącej w barku karafki nalał sobie szklanekę szkockiej. Opróżnił ją jednym haustem.

- Bryan? - Matka stała w drzwiach; na jej twarzy malował się wyraz zatroskania. - Co się dzieje? Masz jakieś problemy?

Tak, miał problemy z samym sobą.

Czuł to od pewnego czasu, ale wrodzony upór niej pozwalał mu się do tego przyznać. Kłamstwa z przeszłości, od których nie umiał się uwolnić, rzutowały na teraźniejszość, a on, głupiec, tego nie widział.

Przez chwilę wpatrywał się w pustą szklanekę; nagle w głowie zakiełkował mu pomysł.

- Tak, mam, ale wszystko da się rozwiązać.

Morgan nie spodziewała się, że Bryan przyjedzie po nią w sobotę, ale kiedy w piątek wieczorem zadzwonił, by zawiadomić, o której się zjawi, nie zaprotestowała. Swoją samochód wprawdzie odebrała z warsztatu, ale bała się ryzykować jazdę: a nuż silnik znów nawali? Poza tym za bardzo się denerwowała, by usiąść za kierownicą.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, serce zaczęło jej łomotać. A gdy nacisnęła klamkę i utkwiała wzrok w Bryanie, zamarło. Od samego początku wydawał jej się silny, władczy i przystojny. Dziś zamiast eleganckiego garnituru, jaki zwykle wkładał do pracy, miał na sobie jasne spodnie i białą bawełnianą koszulę rozpiętą pod szyją. Wyglądał młodziej i dużo bardziej przystępnie.

Uśmiechnął się. Hm, chyba z tak... seksownym uśmiechem na twarzy jeszcze go nie widziała.

- O rany!

Kiedy uniósł pytająco brwi, uświadomiła sobie, że wypowiedziała te słowa na głos. Chcąc jakoś zatuszować swój zachwyty, dodała szybko:

- Co za punktualność.

- Nie mam zwyczaju się spóźniać.

A na to liczyła; przydałoby jej się kilka minut ekstra. Odsunęła się na bok, by mógł wejść. Zamknąwszy drzwi, zauważyła, że Bryan bacznie się jej przygląda, zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy.

- Strój jest nowy - oznajmiła, podejrzewając, że właśnie widok zielonego kostiumu tak go zaskoczył. - Uznałam, że okazja tego wymaga. To co, podoba ci się? Może być? Zważywszy, ile kosztował - ciągnęła, nie czekając na jego odpowiedź - lepiej, abym usłyszała „tak”.

Tym razem się nie uśmiechnął. Z poważną miną poprosił, aby się obróciła. Szona wykonała polecenie.

- I jak?

- Zrobiłaś coś z włosami - zauważył.

- Skróciłam je. - Sięgały teraz do ramion. - Od dawna chciałam coś w sobie zmienić.

- Wyglądasz... przepięknie. Wręcz zjawiskowo.

Powiedział to swoim charakterystycznym tonem: rzeczowym, stanowczym, nieuznającym sprzeciwu. Nie żeby Morgan zamierzała się sprzeciwiać. Jeżeli uważał, że wygląda zjawiskowo, mogła się tylko cieszyć. W przeciwieństwie do Dillona, który rozpywał się nad jej urodą, Bryan był oszczędny w słowach. Tym bardziej więc doceniła komplement.

Oczy mu zaślniły. Przez moment myślała, że ją znów pocałuje. Myślała? Marzyła o tym! Ale on cofnął się krok i odwrócił spojrzenie.

- Powinniśmy jechać.

Dom Calibornów w Lake Forest przypuszczalnie miał większy metraż niż szkoła podstawowa w Wisconsin, w której do niedawna Morgan uczyła. Portyk oparty na kolumnach oraz wspaniały ogród sprawiały, że całość zapierała dech w piersiach.

Wysiadłszy z samochodu, Bryan okrzył maskę i otworzył drzwi od strony pasażera. Morgan nie wykonała ruchu, jakby zamierzała wysiąść; oszołomiona rozglądała się wokoło. Nie była tchórzem, ale przez moment miała ochotę udać, że się źle czuje i poprosić Bryana, aby odwiózł ją z powrotem do miasta.

Chyba rozumiał jej treść, bo ujął ją pod łokieć i delikatnie ścisnął, próbując dodać jej odwagi.

- To naprawdę dobrzy ludzie - rzekł cicho - którzy przeżyli ogromne straty.

Straty? W liczbie mnogiej? Zanim zdołała o cokolwiek zapytać, zza domu wyłoniła się szczupła, na oko sześćdziesięcioletnia kobieta w roboczych rękawicach. Na widok gości rozpostarła z okrzykiem ramiona i rzuciła się biegiem w ich stronę. Morgan zdziwiło tak radosne powitanie. Zazwyczaj osoby zajmujące się ogrodem nie...

- Mamo. - Bryan pocałował ją czule w policzek.

To jego matka? Morgan spodziewała się zobaczyć obwieszoną brylantami matronę w kostiumie od Chanel, a nie pełną życia, roześmianą kobietę o pięknej twarzy pozna-
czonej zmarszczkami, których nie ukrywała pod botoksem. Włosy miała srebrzyste,
krótko przycięte, oczy - duże i ciemne, jak Bryan.

- Mamo, przedstawiam ci Morgan i Brice'a. Morgan, to jest Julia Caliborn, matka
moja i Dillona.

- Bardzo mi miło, pani Caliborn.

- Och, nie, proszę mi mówić po imieniu. - Kobieta zamierzała uścisnąć wyciągniętą
na powitanie dłoń, ale zauważyła, że ma na rękach brudne rękawice. - Ojej, ale ze mnie
gapa! A podobno pierwsze wrażenie jest najważniejsze. - Roześmiała się speszona. -
Wybaczcie mój strój. - Popatrzyła na syna. - Jesteście za wcześnie - powiedziała z pre-
tensją w głosie.

Rozbawiony potrząsnął przecząco głową. Uśmiech rozświetlił jego twarz.

- Nie, mamo. Przyjechaliśmy punktualnie. Pracując w ogrodzie, zawsze tracisz po-
czucie czasu.

- Nie przeczę. Grzebanie w ziemi to znakomity sposób na relaks - odrzekła, zwr-
cając się do Morgan. - Od rana wyrywam chwasty i przycinam gałęzie. Oczywiście pro-
siłam ogrodnika, żeby w czasie mojej nieobecności wszystkiego dopilnował, ale rabaty
kwiatowe są w opłakanym stanie.

- Och, przesadzasz - zaproponował Bryan, po czym wyjaśnił zdziwionej Morgan: -
Mama wspaniale zajmuje się ogrodem. Zdjęcia wyhodowanych przez nią kwiatów kilka
razy prezentowano w fachowych pismach. - Z jego głosu przebijała duma.

Julia przeniosła wzrok z syna na Morgan, a potem na śpiące w jej ramionach
dziecko.

- Chętnie przytuliłabym małego - szepnęła - ale nie bardzo mogę...

Miała na myśli nie tylko czarne ręce i poplamione ubranie, ale również swój stan
psychiczny. Łzy wezbrały jej w oczach, jedna spłynęła po policzku. Julia wytarła ją; na
twarzy pozostał brudny ślad. Oczy Morgan również stały się szkliste. Spodziewała się, że
spotkanie z rodzicami Dillona będzie dla niej dużym przeżyciem, ale nie pomyślała o
tym, że o wiele większym będzie dla nich po stracie młodszego syna.

- Chodźmy do środka, mamó. Musisz doprowadzić się do porządku. - Bryan podał matce chusteczkę i objąwszy ją za ramię, skierował się do drzwi.

- Tata jest w gabinecie. Porozmawiajcie z nim, a ja się przebiorę. Za kilka minut do was dołączę.

Kiedy krętymi schodami Julia Caliborn udała się na górę, Bryan poprowadził Morgan przez salon i jadalnię do gabinetu ojca. Po drodze podziwiała eleganckie meble i piękne obrazy na ścianach, przypuszczalnie oryginały, a nie reprodukcje. Mimo obfitości dzieł sztuki w domu nie panowała muzealna atmosfera, przeciwnie, panował ciepły przytulny nastrój, którego brakowało w sterylnym apartamencie Bryana.

Wędrując przez dom, Morgan czuła, jak z każdym krokiem opuszcza ją napięcie. Wróciło jednak, kiedy Bryan otworzył drzwi gabinetu. Pod oknem, zwrócony do nich plecami, stał wysoki mężczyzna o stalowoszarych włosach, który wzrostem dorównywał Bryanowi, choć na pewno był mniej barczysty od syna. Jak na sześćdziesięciolatka trzymał się znakomicie. Po chwili obrócił się; jego oczy miały identyczny złocistobrazowy odcień, co oczy Dillona.

- Tato, to jest Morgan Stevens. Morgan, mój tata Hugh Caliborn.

- Miło mi pana poznać.

- Witaj, Morgan. - Starszy mężczyzna podszedł bliżej i zawahał się, jakby nie wiedział, czy powinien pocałować ją w policzek, czy tylko uścisnąć jej dłoń. W końcu nie uczynił nic. - Bryan, mama wie, że już jesteście?

- Tak. Akurat zajechaliśmy pod dom, kiedy z łopata w ręce wyłoniła się z ogrodu. - Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - Przebiera się na górze.

Hugh skinął głową, po czym skierował wzrok na dziecko w ramionach Morgan.

- Bryan powiedział, że nazwałaś go Brice Dillon?

- Tak. - Morgan wstrzymała oddech.

- Ładne imiona.

- Mnie też się podobają.

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało.

- Jest taki malutki...

- Już pierwszego dnia podbił moje serce - powiedziała Morgan; pamiętając falę miłości, jaka ją zalała, kiedy położono jej dziecko na piersi.

- Które pozostanie podbite na zawsze - oznajmił z uśmiechem Hugh.

- To prawda. - Głosem przepojonym smutkiem Bryan przyznał ojcu rację, po czym chrząknął, jakby usiłował pozbyć się chrypki. - Może usiądziemy?

W gabinecie, oprócz ogromnego biurka wykonanego z tego samego drewna co boazeria, znajdował się komplet wygodnych mebli. Bryan usiadł w jednym fotelu, jego ojciec w drugim; dla Morgan została kanapa. Przez kwadrans rozmawiali o nieistotnych sprawach, takich jak pogoda, dopóki nie dołączyła do nich Julia.

- Na miłość boską, Hugh, nawet nie zaproponowałeś Morgan nic do picia?

Morgan potrząsnęła szybko głową.

- Och nie, niczego mi nie trzeba.

- Ja bym się chętnie czegoś napił - rzekł Bryan.

- W lodówce znajdziesz dzbanek mrożonej herbaty. Przynieś go. I kilka szklanek.

Może Morgan się namyśli.

Morgan wytrzeszczyła oczy, kiedy Bryan posłusznie ruszył do kuchni.

- Wszystko w porządku, kochanie? - spytała Julia, widząc zdziwienie malujące się na twarzy młodszej kobiety.

- Tak. Po prostu zaskoczyło mnie, że ktoś wydaje Bryanowi polecenia. - Oblała się rumieńcem. - Bo... bo zwykle to on wszystkim rozkazuje i... i jakoś nie przyszło mi do głowy, że...

Powinna ugryźć się w język. Ale matka Bryana nie wydawała się oburzona czy zgorszona; przeciwnie, uśmiechała się szeroko.

- Wiem, wiem, mój syn woli wydawać polecenia, niż je wykonywać. A ja swoimi sposobami pilnuję, żeby nie przeistoczył się w dyktatora. - Zaczęła nerwowo miętosić guzik bluzki. - Od dziecka taki był. Różnił się od Dillona, który nigdy niczego nie żądał, lecz wdziękiem osiągał cel.

O tak, Dillon miał mnóstwo wdzięku. Kto jak kto, ale Morgan doskonale to wiedziała.

- Bryan i Dillon stanowili swoje przeciwieństwo - oznajmił Hugh. - Czasem z Julią się zastanawialiśmy, czy nie robią tego specjalnie, żeby nas doprowadzić do szału. - Roześmiał się cicho. - Mimo różnic charakterologicznych bardzo się kochali i zawsze trzymali sztamę. Jeden dla drugiego skoczyłby w ogień.

- Wciąż trudno nam uwierzyć, że Dillon nie żyje - szepnęła Julia.

Zapadła cisza. Nikt nic nie mówił poza Brice'em, który gaworzył radośnie i wymachiwał piąstkami.

- Zdaje się, że rośnie mały bokser - zauważył ze śmiechem Hugh.

- Tak, to bardzo żywy chłopczyk.

- Czy... czy mogłabym go potrzymać? - spytała Julia.

- Oczywiście.

Bryan wrócił do gabinetu, kiedy Morgan przekazywała Julii dziecko. Ciekawa była, o czym myśli, patrząc, jak matka z cichym westchnieniem przytula twarz do miękkiego policzka. Po chwili Hugh podniósł się z fotela i przysiadł obok żony na oparciu kanapy.

- Wygląda zupełnie jak mały Dill, prawda, Jules? - spytał ochryłym ze wzruszenia głosem.

- Tak, nawet ma taki sam sterczący kosmyk. - Kobieta pogładziła miejsce tuż nad czołem malca.

Morgan odetchnęła z ulgą. Uwierzyli jej. W głosach Calibornów nie było cienia wątpliwości, tylko zdumienie i radość. Bała się dzisiejszej wizyty, tego, że rodzice Bryana i Dilla powitają ją chłodno. Lecz oni przyjęli ją i dziecko z otwartymi ramionami; czuła się zaakceptowana.

W drzwiach pojawiła się kucharka.

- Lunch będzie gotowy za piętnaście minut. Nadal chcą państwo jeść w ogrodzie?

- Tak, Mae. Bryan, weź tacę z herbatą i przenieśmy się na zewnątrz. Jest za ładnie, żeby siedzieć w domu.

Julia z mężem i dzieckiem wyszli pierwsi, Bryan z Morgan za nimi. Na patio stał przygotowany stół z kutego żelaza, na wygiętych nóżkach. Dookoła rosły krzewy i kwiaty. Z jednej kwiecistej oazy do drugiej, a także do sporych rozmiarów basenu, pro-

wadziły kamienne ścieżki. Za basenem stał domek dla gości, w którym mieszkał obecnie Bryan.

- Macie przepiękny dom, ale ten ogród... - Morgan wskazała ręką na wspaniałą zielen - po prostu zapiera dech.

- Dziękuję. Szkoda, że nie widziałas kwiatów w rozkwicie. - Julia popatrzyła z pretensją na syna.

- Zobaczy w przyszłym roku.

- Tak, koniecznie. Znasz się na roślinach, Morgan? - spytała Julia. - Na uprawie ogrodu?

- Niestety. W Wisconsin mieszkałam w kamienicy. Któregoś lata próbowałam hodować na balkonie pelargonie, ale dotrwały jedynie do końca czerwca.

- Też mi rośliny padały, zanim się w końcu nauczyłam, co i jak. - Kobieta przełożyła dziecko z jednej ręki na drugą.

- Jak chcesz, mogę go zabrać - zaproponowała Morgan. - Niby jest mały, ale po paru minutach robi się strasznie ciężki.

- Och, nie. Nie oddam go. - Julia roześmiała się.

- Chyba będziesz musiała mi go siłą odebrać. Posłuchaj, kochanie, jeśli kiedyś będziesz chciała mieć wolny wieczór, żeby wyjść z przyjaciółmi albo poleżeć do góry brzuchem, z przyjemnością się Brice'em zaopiekuję.

- Dziękuję, to miło z twojej strony.

- Bez przesady. Jako babcia zamierzam go rozpieszczać. Dobrze, mały?

Popatrzyła z powagą na wnuka. Ten, gaworząc wesoło, udzielił jej odpowiedzi.

Obserwując tę scenę, Morgan poczuła dławienie w gardle. Wyobraziła sobie własną matkę: też by tuliła wnuka, całowała go, rozmawiała z nim. Po raz pierwszy od wyjazdu z Wisconsin nabrała pewności, że podjęła słuszną decyzję w sprawie przyjazdu do Chicago. Tak, wszystko się dobrze ułoży. Zerknęła na Bryana.

Ze zdumieniem dojrzała ból w jego oczach.

- Bryan wspomniał, że od wyjścia ze szpitala mieszkasz w jego apartamencie - rzekł Hugh.

- Tak. Mówiłam mu, że nie musi się nigdzie wynosić. - Zaczerwieniła się, przecież jej słowa można by zrozumieć na wiele sposobów. - To znaczy, jestem ogromnie wdzięczna, że pozwolił mi zamieszkać u siebie, ale mogłam znaleźć jakąś kawalerkę. Oczywiście teraz, kiedy wróciliście, wyprowadzę się, żeby mógł wrócić na własne śmieci.

- A co ma do rzeczy nasz powrót? - zdziwiła się Julia. - Bryan może dalej tu mieszkać, w niczym nam nie przeszkadza. Wprost przeciwnie.

- Cieszę się bardzo, ale Bryanowi na pewno byłoby wygodniej u siebie. Choćby dlatego, że stąd musi spory kawał dojeżdżać.

- To prawda - przyznał Bryan.

- Synu!

- Wolałbym wrócić na własne śmieci - kontynuował, patrząc na matkę - ale to nie znaczy, że chcę wyrzucić Morgan i mojego bratanka na ulicę.

Morgan znieruchomiała. Po raz pierwszy Bryan nazwał Brice'a swoim bratankiem. Przez moment była pewna, że się przesłyszała, ale nie, na jego twarzy gościł ciepły uśmiech. Skąd ta nagła odmiana?

Siedziała zamyślona, próbując rozwikłać zagadkę, toteż nie słyszała jego kolejnych słów. Z zadumy wyrwała ją Julia, która klasnęła w dłonie i zawołała:

- Ależ to cudowny pomysł! Dlaczego sama na to nie wpadłam? Morgan, co ty na to?

- Na... na co?

- Powiedziałem, żebyśmy się zamienili - rzekł Bryan. - Ja wrócę do miasta, a ty zamieszkasz tutaj, w domku dla gości.

- Och, nie, nie mogłabym. Jesteś... wszyscy jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nie mogę dłużej korzystać z gościnności Calibornów. To... to nie wypada.

- Nie bądź niemądra - skarcił ją Hugh. - Możecie tu mieszkać tak długo, jak zechcesz, ty i Brice. Sprawicie nam ogromną radość. Będziemy mogli bawić się z wnukiem...

- A ja będę miał bliżej do pracy - powiedział Bryan.

Szałę przeważyły słowa Julii.

- Poza tym, co to znaczy, że nie wypada? Przecież ty i Brice należycie do naszej rodziny.

Przez chwilę Morgan nie była w stanie wykrztusić słowa. Od śmierci rodziców czuła się przeraźliwie samotna. A dziś spotkała ludzi, którzy po godzinie znajomości nie tylko oferowali jej dach nad głową, ale również miejsce w swoim sercu.

- To... Ale... Ja... - Łzy napłynęły jej do oczu. Bojąc się, że zaraz wybuchnie niepohamowanym szlochem i zrobi z siebie widowisko, poderwała się na nogi.

Nie wiedziała, dokąd biegnie. Wiedziała tylko, że potrzebuje paru minut w samotności, by wziąć się w garść, zapanować nad emocjami. W oddali słyszała kojący szum wody. Powoli się do niego zbliżała. Minąwszy porośniętą różami altankę, zobaczyła nieduży wodospad. W stawie pływały karpie koi. Usiadła na kamiennej ławce i zakryła dłońmi twarz; nawet nie próbowała powstrzymać łez.

Kiedy w końcu podniosła głowę, jej oczom ukazał się Bryan.

- Przyszedłem sprawdzić, jak się czujesz.

Tak jak wcześniej swojej matce, podał jej chusteczkę.

Wytarła oczy - a tak starannie je dziś pomalowała! - i zmusiła się do uśmiechu.

- Musiałam przez moment pobyc sama. Przepraszam.

- Nie, nie przepraszaj.

- Twoja mama jest bardzo miła i... - Utkwiła spojrzenie w stawie. Widok i szum wody podziałał na nią uspokajająco. Obecność Bryana również. - Czuję się bardzo samotna. To znaczy mam kilka ciotek, wujków i jakichś kuzynów, z którymi wysyłamy sobie kartki na święta, ale to nie to samo co rodzice.

- Na pewno nie to samo - przyznał Bryan.

Popatrzyła mu w oczy.

- Byłam jedynaczką; nigdy nie brakowało mi rodzeństwa. Miałam wspaniałych rodziców. Zabawnych, mądrych, kochających. Mamie mogłam powiedzieć wszystko, a ojcu... - Urwała. Dopiero po dłuższej chwili kontynuowała: - Po ich śmierci świat mi się zawalił. W moim życiu nastał chaos. Nagle nie miałam co ze sobą zrobić w niedzielne popołudnia. Nie miałam dokąd jechać na święta, nie miałam do kogo zadzwonić po radę...

- Musiało ci być ciężko.

Wierzchem dłoni przetarła oczy, w których znów wezbrały łzy.

- Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, nie wpadłam w popłoch ani się nie załamalam. - Wzruszyła ramionami. - Oczywiście, nie marzyłam o tym, żeby zostać samotną matką, zwłaszcza samotną matką bez pracy i ubezpieczenia zdrowotnego. Ale nawet nie masz pojęcia, jak wielką poczułam radość i ulgę na myśl, że już nie będę sama.

- Nie jesteś sama.

- Wiem. Mam Brice'a.

- Masz znacznie więcej niż Brice'a. - Podał jej rękę i podciągnął ją na nogi. Potem ręki nie cofnął. - Jeżeli nie chcesz zostać na lunch, odwiozę cię do miasta. Rodzice zrozumieją.

- Nie, zostanę. Nie lubię się poddawać.

- Wiem.

Przyglądał się jej tak badawczo, że poczuła się niemal naga.

- Co jeszcze o mnie wiesz?

- Stanowczo za mało, żeby zaspokoić swoją ciekawość - przyznał. - Ale wystarczająco dużo, aby cię polubić.

Wciąż trzymając się za ręce, ruszyli w stronę domu. W stronę stołu na patio. Morgan miała wrażenie, jakby pokonali przeszkodę, która stała na ich drodze - barierę nieufności.

Z domu wyłoniła się obładowana tacami Mae. Kolejno nakładała biesiadnikom na talerze łososia z rusztu, chrupiącą zieloną sałatę, świeżo upieczone bułeczki. Inna służąca, młodsza od Mae, ale ubrana w identyczny mundurek, postawiła między Morgan a Julią białe wiklinowe łóżeczko.

- Dziękuję, Carmen - powiedziała Julia, po czym zwróciła się do Morgan: - Obaj nasi chłopcy spali w nim, kiedy byli mali. A także Caden. - Zorientowawszy się, że powiedziała za dużo, popatrzyła przepaszająco na syna.

Kim jest Caden? Morgan nie spytała o to. Nawet gdyby chciała, nie miałyby okazji. Dziś w centrum zainteresowania była ona z Brice'em i przez najbliższe trzy kwadransy odpowiadała na pytania Julii oraz Hugh. Nie, nie czuła się jak na przesłuchaniu. I nie

miała problemów z opowiadaniem o sobie, może dlatego, że starsi państwo od pierwszej chwili zaakceptowali ojcostwo Dillona.

Poczuła się niezręcznie tylko raz: kiedy zapytali, czym się trudni zawodowo. Nie chciała, aby jej ograniczone środki finansowe wpłynęły na ich obraz jej osoby.

- Jestem nauczycielką. Niestety na razie bezrobotną. Ale szukam pracy.

Bryan nic nie mówił, ale ilekroć na niego patrzyła, uśmiechał się zachęcająco. Teraz postanowił wtrącić się do rozmowy.

- Morgan uczy muzyki. Pracowała w szkole publicznej w Wisconsin, ale na skutek cięć budżetowych straciła pracę.

- Och, to niedobrze. I dla ciebie, i dla twoich uczniów. Szkoda, że sztuka jest tak niedoceniana. - Julia pokręciła ze smutkiem głową. - Grasz na jakimś instrumencie?

- Na kilku. Głównie jednak na fortepianie.

- I nieźle na saksofonie - dodał z powagą Bryan, ale w jego oczach migotały wesołe iskierki.

Morgan spuściła wzrok.

- Gram muzykę klasyczną - oznajmiła. - Rodzice marzyli o tym, żebym została pianistką koncertową. Wszystkie swoje oszczędności przeznaczyci na opłacenie mi Juliarda.

- Skończyłaś najlepszą uczelnię muzyczną w kraju? - zapytał Bryan, po czym zwrócił się do rodziców: - Morgan dwukrotnie występowała w Carnegie Hall.

- Chętnie byśmy kiedyś posłuchali, jak grasz - powiedziała Julia.

- Trochę wyszłam z wprawy, jeśli chodzi o repertuar klasyczny. Dziś, zamiast skupiać się na Beethovenie czy Mozarcie, głównie ćwiczę z dziećmi gamę. Pracuję popołudniami w miejskim ośrodku kultury. - Posłała Bryanowi uśmiech. - Niedawno Windy City Industries ogłosiło, że wspomocze ośrodek hojnym darem w postaci nowych instrumentów.

Hugh pokiwał z uznaniem głową.

- Tak, Bryan wspomniał o tym wczoraj przy kolacji.

- Tylko zapomniał dodać, że Morgan tam pracuje - oznajmiła jego żona.

Bryan wzruszył niedbale ramionami.

- Liczy się cel.

- To prawda - przyznała Julia. - Wyobrażam sobie, że jest mnóstwo biednych rodzin, których nie stać na kupno instrumentu czy opłacanie lekcji muzyki dla swoich dzieci.

- No właśnie, dla dzieciaków takie lekcje to frajda. Zamiast popołudniami szwendać się po ulicy, przychodzą do ośrodka na zajęcia. A ja uwielbiam uczyć.

- Tyle że za to uczenie zarabia grosze.

- Bryan, nie wypada zaglądać komuś do portfela - matka zwróciła mu uwagę.

Morgan wypila łyk mrożonej herbaty.

- Niestety Bryan ma rację. Dlatego rozsyłałam swoje cv po różnych szkołach.

- Szkołach na terenie Chicago? - spytała Julia z nutą nadziei w głosie.

- Nie, nie tylko. Nawet wolałabym poza miastem. Tu życie jest straszliwie drogie.

- Mam rozwiązanie - oznajmił Bryan. Odłożywszy na bok widelec, sięgnął do tylnej kieszeni spodni, z której wyjął pomietaną kopertę. - Proszę. To twoje.

- Co to jest? - zdziwiła się Morgan.

- Otwórz.

Tak też zrobiła, po czym wytrzeszczyła oczy. W kopercie znajdował się czek wystawiony na jej nazwisko - czek na sumę dwóch milionów dolarów.

Bryan nie odrywał od niej spojrzenia. Morgan zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- To są pieniądze z polisy Dillona - wyjaśnił. - Uczynił mnie swoim beneficjentem.

- Nie mogę ich przyjąć - rzekła, usiłując zwrócić mu czek.

Ścisnął jej dłoń.

- Owszem, możesz.

- Te pieniądze są twoje. Nie chcę ich. - Przeniosła spojrzenie na rodziców Bryana. - Nie przyjechałam tu po pomoc finansową. Przysięgam. Nie taki był mój cel. Słowo ho...

- Urwała w pół słowa, kiedy Bryan ponownie zacisnął rękę na jej dłoni.

- Morgan, wiemy o tym.

- Naprawdę? - Skierowała to pytanie do niego.

- Absolutnie.

- To dobrze. - Oczy się jej zaszklily. - Ale i tak nie mogę przyjąć czeku.

- To nie są moje pieniądze. Należały do Dillona, a zatem powinny przypaść Brice'owi.

- Bryan ma rację - poparła syna Julia.

Hugh swoje zdanie wyraził bardziej dosadnie:

- W sprawach finansowych Dill był skrajnie nieodpowiedzialny. Moi rodzice założyli chłopcom fundusze powiernicze. Bryan swoje pieniądze zainwestował, Dill swoje roztrwonil. Prawdę rzekłszy, jestem zdziwiony, że w ogóle pomyślał o czymś takim jak ubezpieczenie na życie. Pewnie tylko dlatego wykupił polisę, bo ojciec dziewczyny, z którą spotykał się na studiach, był prezesem dużej chicagowskiej firmy ubezpieczeniowej. - Na moment zamilkł speszony. - Bez względu na to, co nim kierowało, cieszę się, że tak zrobił. I w stu procentach zgadzam się z Bryanem; pieniądze należą się Brice'owi.

Morgan obróciła się do Bryana, który wciąż ściszał ją za rękę.

- Ale Dillon ciebie podał jako swojego beneficjenta. Tobie zostawił pieniądze.

- A ja wierzę, że gdyby wiedział, że jesteś w ciąży, przekazałby je waszemu dziecku.

Przekonał ją. Wszyscy troje ją przekonali. Skinęła wolno głową.

- Dziękuję. Będą dla Brice'a.

- Świetnie. I jeżeli zechcesz, chętnie udzielę ci paru rad, jak je zainwestować.

- Będę wdzięczna. - Uśmiech wypełził na jej wargi. Nie muszę się martwić, czy stać mnie będzie na opłacenie studiów Brice'a.

- Tak, warto odłożyć pewną sumę na przyszłość - powiedziała Julia. - Ale nie ma nic złego w tym, aby część pieniędzy przeznaczyć na bieżące potrzeby, na mieszkanie, podróże i tak dalej.

Bryan widział, że Morgan nadal walczy sama z sobą.

Co innego gdyby to Dillon wręczył jej czek, a tak miała wrażenie, jakby brała coś, co jest własnością Bryana.

- Jesteś pewien? - spytała cicho.

- Na sto procent - odparł.

Niczego w życiu nie był bardziej pewien.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Morgan nie spodziewała się, że wizyta u Calibornów potrwa tyle czasu. A siedziała u nich nie z uprzejmości, nie z poczucia obowiązku, tylko dlatego, że byli to niezwykle ciepłi i serdeczni ludzie, którzy w dodatku mieli bzika na punkcie wnuka.

- Powinniśmy ruszać w drogę - oznajmił późnym popołudniem Bryan, odsuwając krzesło od stołu.

- Szkoda, że ten dzień się kończy. - Wzdychając cicho, Julia spojrzała na dziecko gaworzące w łóżeczku. - Tak miło mi się z wami rozmawia.

- Mnie też było bardzo miło - rzekła Morgan. - Wkrótce znów się zobaczymy.

- Liczę na to. Cieszę się, kochanie, że mogłam cię poznać. Jesteś wspaniałą młodą kobietą, taką, jakiej każda matka pragnie dla swojego syna.

Morgan uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Gdyby Dillon żył, czy byliby razem? Raczej w to wątpiła. Po wyjeździe z Aruby nawet nie próbował się z nią skontaktować. Przez tydzień sypiali ze sobą, ale ani razu nie rozmawiali o przyszłości. Czy pojawienie się dziecka sprawiłoby, że spojrzeliby na siebie inaczej, z miłością? Czy to by niczego nie zmieniło i ona nadal czułaby pociąg do Bryana?

- Zapewnie teraz, mając pieniądze z polisy Dillona, będziesz chciała rozejrzeć się za własnym domem - zauważył Hugh. - Zanim jednak znajdziesz odpowiedni, mogłabyś zamieszkać w naszym domku gościnnym. Julia i ja byliśmy zachwyceni.

- Och, tak! - Julia poparła męża. - Zgódź się. Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzać ani wpadać bez zapowiedzi. No, może tylko raz dziennie, żeby pobawić się z małym.

Pomysł ten Morgan się spodobał. Ona miałaby kogoś do pomocy, a Brice miałby szansę nawiązać bliską więź z dziadkami.

- Czy ten jeden raz dziennie mógłby być o drugiej w nocy, kiedy Brice uznaje, że pora na zabawę?

- Czyli zgadzasz się?

- Oczywiście, że tak - odparła Morgan.

Starsza kobieta ucisnęła ją z całej siły.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę. - Dopiero po dłuższej chwili opuściła ramiona i popatrzyła na syna. - Może pokaż Morgan domek. O ile panuje w nim jako taki porządek.

- Panuje. Jako taki.

- To dobrze. - Julia wzięła wnuka na ręce. - Nie musicie się spieszyć.

- Jak nam szczęście dopisze, może wyjedziemy stąd przed północą - powiedział ze śmiechem Bryan, kiedy szli po trawniku w stronę domku. Po chwili dodał poważniejszym tonem: - Cieszę się, że zgodziłaś się tu zamieszkać. Móc być blisko wnuka... to wiele znaczy dla moich rodziców. Mają do mnie pretensję, że tak długo utrzymywałem was w tajemnicy.

- Uważałeś, że tak będzie lepiej. - Czują, że nie zna całej prawdy; że Bryan coś przed nią ukrywa. - Ja też się cieszę, że Brice będzie miał dziadków na wyciągnięcie ręki. Każde dziecko zasługuje na przynajmniej jedną kochającą babcie i jednego dziadka.

- Uważaj, bo go strasznie rozpieszczą. Zanim się zorientujesz, zaczną zasypywać go prezentami. Nie mówię o piłeczce czy misiu, ale o wielkim samochodziku, do którego dwulatek może wsiąść, czy o pluszowym kucu wielkości małego słonia. Oni to uwielbiają.

Morgan zmarszczyła czoło. Mówił tak, jakby to wszystko przeżył.

Doszli do domku dla gości. Bryan otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Chicagowski apartament był na pewno sporo większy, za to w tym wnętrzu panował ciepły przytulny nastrój. Kuchnia z drzewa klonowego, wyposażona w najnowocześniejsze sprzęty, oddzielona była od salonu rzędem szafek. Na blacie leżała gazeta, obok stał kubek oraz talerzyk z kawałkiem grzanki. Morgan wyobraziła sobie, jak Bryan siedzi tu rano przy śniadaniu, pijąc kawę, i przegląda sekcję biznesową.

- Śniadanie mistrzów - powiedziała żartobliwym tonem.

- Robienie grzanek to szczyt moich możliwości kulinarnych. Tylko nie mów Julii, że zostawiłem na wierzchu brudny talerzyk. Byłaby przerażona.

- Bez przesady. Zazwyczaj mieszkania niezonatych facetów przypominają chlew, a u ciebie jest naprawdę czysto.

- To dlatego, że spędzam tu mało czasu.

Przeszli przez salon do niedużego korytarza. Bryan otworzył pierwsze drzwi po lewej. Kiedy zapalił światło, zobaczyła ogromną łazienkę z wanną oraz kabiną prysznicową. Wskazując na uchylone drzwi w przeciwległej ścianie, rzekł:

- Można wejść z korytarza lub z sypialni.

I właśnie tam się udali, do sypialni. Bryan odsłonił okna, wpuszczając do środka światło słoneczne. Hm, trzeba będzie nieco poprzestawiać meble, pomyślała Morgan, żeby zmieścić tu łóżeczko Brice'a i stół do przewijania.

Bryan odczytał jej myśli.

- Można usunąć biurko, a łóżko postawić pod drugą ścianą. Wtedy dodatkowe mebelki zmieszczą się bez problemu.

Biurko, o którym mówił, zavalone było papierami. Obok stał laptop.

- Za mało spędzasz tu czasu, żeby nabrudzić, ale starcza ci go, żeby zasiąść do pracy?

- Powiększamy firmę. Ponieważ ojciec zbliża się do wieku emerytalnego, większość spraw jest na mojej głowie. Muszę trzymać rękę na pulsie.

Nie wątpiła, że Bryan jest bardzo zajęтым człowiekiem, ale to trzymanie ręki na pulsie brzmiało jak wymówka.

- Powinieneś częściej wychodzić, spotykać się z ludźmi.

- Skąd wiesz, że nie wychodzę?

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Tak szybko znalazłeś kogoś na miejsce Courtney?

- Przeszkadzałoby ci to?

- Tak. - Zbyt późno ugryzła się w język. Uświadomiła sobie, że naprawdę by jej przeszkadzało. Miała ochotę wyć na samą myśl, że Bryan mógłby całować inną kobietę tak, jak tamtego razu całował się z nią. Na szczęście, kiedy się odezwała, głos miała normalny: - Mówiłeś, że nie łączyła was szalona miłość.

- Wystrzegam się poważnych związków.

Ciekawe dlaczego? Z powodu rozwodu? Pewnie tak. Może boleśnie przeżył rozstanie z żoną.

- Zasługujesz na coś więcej niż przelotny romans.

- Tak uważasz? - spytał lekko rozbawiony.

- Dobry z ciebie człowiek, Bryan.

- Jesteś pewna?

Na początku nie była, ale teraz nie miała wątpliwości. Wprawdzie starał się ukryć swoją szlachetność, lecz nie bardzo mu to wychodziło. Czy człowiek niewrażliwy wręczyłby jej pieniądze z polisy Dillona? Czy zaoferowałby kupno instrumentów muzycznych dla dzieci z ośrodka?

- Zdecydowanie tak. Jesteś nie tylko porządnym facetem, ale również piekielnie atrak... - Urwała, znów o kilka sekund za późno.

Bryan wykrzywił usta w uśmiechu.

- Mów dalej, proszę.

Milczała.

- No dobrze, a ty? - spytał. - Też masz dobre serce, też jesteś piekielnie atrak... i tak dalej. Nie sądzisz, że zasługujesz na coś więcej od życia?

- Z chwilą narodzin dziecka przestałam myśleć o sobie. Mam teraz obowiązki, różne powinności. Jestem matką.

- Czasem nawet matki mogą się wystroić i wybrać na randkę.

Potrząsnęła głową.

- Inne tak, ja nie.

- Dlaczego?

Kiedy tak na nią patrzył, nie potrafiła się skupić. Tym bardziej że stali po dwóch stronach nieposłanego łóżka, które przywodziło jej na myśl niepożądane obrazy...

- Brice mnie potrzebuje.

- A ty nie masz żadnych potrzeb? - spytał szeptem.

Pytanie było niebezpieczne, odpowiedź ryzykowna.

Morgan utkwiała spojrzenie w ustach Bryana. To, czego pragnęła, czego potrzebowała, było zakazane, niedostępne. I takie musi pozostać. Nie może sobie pozwolić na kolejną chwilę zapomnienia. Na uleganie emocjom. Bo jeśli się nie uda? Jeśli nie wyjdzie? Co wtedy? Nadal musieliby się widywać. Ona nie należała do rodziny Calibornów, ale w żyłach jej syna płynie ich krew. Nie wolno jej narażać przyszłości syna.

- Mam wszystko, czego mi potrzeba - odparła.

Przyglądał się jej uważnie. Głos miała silny, zdecydowany, jakby wierzyła w to, co mówi, ale jej spojrzenie mówiło co innego.

- Ja również - oznajmił.

Oboje kłamali.

Zapadał zmierzch, kiedy dotarli do Chicago. Bryan znalazł miejsce do parkowania pod samym domem. Nie zdziwiło Morgan, gdy obszedł maskę i otworzył drzwi, jednak była zaskoczona, gdy wyjął Brice'a z fotelika.

- Zaniosę go - powiedział, kiedy wyciągnęła ręce po syna. - Jeśli ci to nie przeszkadza.

- Oczywiście, że nie. - Wręcz przeciwnie. Spodobał jej się widok chłopczyka w silnych ramionach wuja. - Wiesz, wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale ty i Brice macie dokładnie ten sam kształt brwi.

Ściągnął swoje.

- Serio?

- Nie jak tak robisz.

Przystanął.

- Jak co robię?

- Marszczysz się. - Zanim się zreflektowała, podniosła rękę i wygładziła mu czoło. Potem szybko cofnęła dłoń. - A marszczysz często.

- Naprawdę?

- Ciekawe, czy kiedy Brice dorośnie, też będzie onieśmielał ludzi spojrzeniem.

- To wymaga wielu lat ćwiczeń. Wkrótce muszę zacząć go uczyć.

Chociaż powiedział to żartobliwym tonem, Morgan miała nadzieję, że będzie brał czynny udział w życiu swojego bratanka. Bardzo tego pragnęła.

- Chyba ktoś ma mokro w spodniach - powiedział Bryan, kiedy winda zatrzymała się na ostatnim piętrze.

- Daj, ja się nim zajmę.

- Nie trzeba, sami sobie poradzimy, prawda, Brice?

Chwilę stała z otwartymi ustami, patrząc, jak Bryan oddala się z dzieckiem w stronę sypialni.

Położywszy małego na stole do przewijania, Bryan podwinął rękawy.

- Staraj się nie wiercić, okej?

W odpowiedzi Brice jeszcze energiczniej zaczął machać nóżkami.

- Nie to nie.

Od narodzin dziecka Bryan unikał jakiegokolwiek kontaktu fizycznego z Brice'em, chociaż wiele razy kusiło go, aby wziąć bratanka na ręce. Po prostu sam widok małego dziecka przywoływał zbyt wiele wspomnień, a nawet te dobre były bolesne. Dziś jednak podjął ważną decyzję: musi stawić czoło swoim demonom i przyjąć na siebie rolę wujka. Ten malec jest synem jego brata, spadkobiercą Dillona. Dlatego przekazał mu pieniądze z polisy ubezpieczeniowej. Miał jednak świadomość, że pieniądze to kiepska namiastka uczucia. Morgan i dziecko potrzebowali jego, Bryana, człowieka z krwi i kości. Bardziej przerażała go myśl, że on ich również potrzebuje.

- Pewnie ucieszysz się, kiedy ci powiem, że trochę się znam na tych sprawach.

Brice zamrugał oczkami.

- Co, nie wierzysz?

Tym razem malec ziewnął szeroko i przekreślił główkę na bok. Czubkiem palca Bryan obrysował jego ucho.

- Wygląda na to, że łączy nas coś więcej niż kształt brwi. Także kształt uszu. Masz typowo calibornowe uszy, wiedziałeś o tym? Co, robaczku? Ciekawe, czy odziedziczyłeś po swoim tacie umiejętność rozweselania ludzi? Bo twój tata nigdy niczego nie traktował zbyt poważnie. - Bryan potrząsnął głową. - Twierdził, że ja to robię za nas dwóch.

Z trudem przełknął ślinę. Tęsknił za bratem. Tęsknił za Cadenem.

- Chciałem, żebyś był synem Dilla. Od początku tego chciałem. Tak jak chciałem, żeby Caden był moim dzieckiem.

- Bryan? - Morgan przystanąła w progu. - Przyszłam sprawdzić, jak sobie radzisz.

- Doskonale - odrzekł cicho.

- Jeśli chcesz, mogę cię zastąpić.

- Nie trzeba. Umiem przewijać dzieci.

Zaczął rozpinąć niebieskie śpioszki. Brice, który energicznie wymachiwał nóżkami, nie ułatwiał mu zadania. Uff. Po chwili się udało: zdjął śpioszki, mokrą pieluszkę rzucił na podłogę. Następnie przystąpił do zakładania suchej pieluchy. Brice gaworzył radośnie.

- Rzeczywiście umiesz - przyznała Morgan.

- Miałaś wątpliwości?

Skinęła głową.

- Przepraszam. Po prostu nie sprawiasz wrażenia człowieka, który wie, do czego służy pieluszka.

- Trochę czasu minęło, odkąd je zmieniałem.

- Ile?

- Kilka lat. - Roześmiał się gorzko. - Ale to jak jazda na rowerze. Kiedy się już posiądzie tę umiejętność, nigdy się jej nie zapomina. - Podniósł Brice'a i przytulił go do siebie. - Tego też się nie zapomina, tego słodkiego ciężaru w ramionach.

- Bryan, kim jest Caden?

Zacisnął powieki.

- Synem mojej byłej żony.

- Twojej... - Jego odpowiedź bardziej zamąciła jej w głowie, niż cokolwiek rozjaśniła. - Myślałam... wydawało mi się, że jest twoim synem.

Ponownie parsknął śmiechem.

- Mnie też się tak wydawało.

W końcu opowiedział jej o wszystkim; mówił wolno, z trudem, jakby każde słowo sprawiało mu niewysłowiony ból. Morgan nie zadawała pytań; słuchała skupiona, w milczeniu.

- Przykro mi, Bryan. - Pogładziła go po policzku.

Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że płacze.

Łzy powinny były go zawstydzić. Dawniej uważałyby je za oznakę słabości, ale dziś miały działanie oczyszczające. Dodawały mu siły.

- Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym wcześniej.

O dziwo, on też żałował.

- Nie jest to coś, o czym lubię mówić.
- Tym bardziej się cieszę, że mi zaufałeś.

Objąwszy go ręką w pasie, przycisnęła twarz do jego piersi. On zaś poprawił w ramionach Brice'a i odwzajemnił jej uścisk. Długo tak stali, bez ruchu, przytuleni.

- Mogę zostać? - spytał cicho. - Przespać się w swoim pokoju?
- Tak.

Siedząc w fotelu bujanym, Morgan karmiła synka i słuchała, jak Bryan krząta się w pokoju za ścianą. Po chwili w łazience rozległ się szum wody. Te zwykle domowe hałasy miały ogromnie kojące działanie.

Po jedzeniu odczekała, aż dziecku się odbije, po czym położyła je spać. Mały wiercił się, wierzgał nóżkami, ale w końcu znalazł sobie wygodną pozycję i zasnął.

Głaszcząc synka po brzuszku, rozmyślała o tym, co jej Bryan powiedział. Strasznie mu współczuła. To, że został w tak okrutny sposób oszukany przez ukochaną osobę, pozostawiło w nim trwałe ślad. Nic dziwnego, że kiedy ona, Morgan, przyjechała do Chicago, zachowywał się wobec niej cynicznie i nieufnie. Że wolał niezobowiązujące znajomości i przelotne romanse od poważnych związków. Czy jeszcze kiedykolwiek będzie gotów zaryzykować, otworzyć swoje serce?

Na palcach opuściła pokój. Dochodziła dziewiąta, kiedy Bryan, z mokrymi po prysznicu włosami, przyłączył się do niej w salonie. Miał na sobie te same jasne spodnie, co wcześniej, i świeży biały T-shirt. Był bosy.

Morgan siedziała na kanapie z ogromną miską popcornu na kolanach i oglądała w telewizji jakiś stary film.

- Jesteś głodny? - spytała, podnosząc wzrok. - Mogę ci zrobić kanapkę.

Usiadł obok na kanapie.

- Nie, dziękuję. Co oglądasz?

- Nie jestem pewna. Włączyłam w trakcie. Masz ochotę na popcorn? - Kiedy skinął głową, postawiła miskę między nimi.

- Przesunęłaś telewizor - zauważył. - I kanapę.

- Tak. Tu lepiej pasuje. A jak już go przesunęłam, to musiałam przesunąć kanapę.

Ale zanim się wyprowadzę, wszystko poprzestawiam z powrotem.

- Nie, zostaw. - Rozejrzawszy się, skinął z zadowoleniem głową. - Tak jest dobrze. Bardziej... swojsko.

Nie bardzo wiedziała, jak zareagować na jego słowa.

- A skoro mowa o wyprowadzce, to kiedy dokonujemy zamiany?

Bryan potarł z namysłem brodę.

- Może w następny weekend?

- W porządku. - Wytarła rękę o serwetkę. - Brice i ja nie mamy innych planów.

Obejrzelili film. Podczas napisów końcowych Morgan spojrzała ukradkiem na Bryana. Od dłuższego czasu się nie odzywał. Nic dziwnego: głowę miał opartą o siedzenie, oczy zamknięte. Sięgnąwszy po pilota, wyłączyła telewizor. To był długi dzień, emocjonalnie wyczerpujący dla obojga. Gdyby nie adrenalina, która wciąż w niej buzowała, też by już dawno poszła spać.

Zawahała się. Powinna obudzić Bryana. We własnym łóżku będzie mu wygodniej niż na kanapie.

Wyciągnęła rękę, by zgasić lampę. W ciemnościach poczuła, jak Bryan obejmuje ją w pasie i nie pozwala jej wstać. Opadła z powrotem na kanapę, a on sennym ruchem przytulił ją do siebie. Powtarzała sobie w duchu, że musi się oswobodzić, przejść do sypialni.

Siedziała dokładnie w tej samej pozycji, kiedy pięć i pół godziny później obudził ją płacz dziecka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W poniedziałek rano Morgan biegała po mieście, załatwiając różne sprawy, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Z Brice'em w wózku skierowała się pośpiesznie do samochodu, gdy nagle, mijając kiosk z gazetami, zobaczyła ogromne czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało ją z dzieckiem i Bryanem na chodniku przed jego apartamentem; ona gładziła Bryana po czole. Przypomniła sobie ten moment; na zdjęciu gest wydawał się znacznie bardziej intymny, niż był w rzeczywistości.

Jakby tego było mało, powyżej zdjęcia widniał wielki nagłówek: „Czyżby kolejny mały Caliborn? Tym razem prezes Windy City Industries nie spieszy się z uznaniem dziecka”.

Morgan jęknęła w duchu i chwyciła gazetę. Zaczęła przeglądać artykuł; jej przerażenie rosło z sekundy na sekundę. Autor nie tylko zastanawiał się, kto jest ojcem Brice'a i analizował charakter samotnej matki, która wprowadziła się z synem do apartamentu Bryana, ale opisywał również szczegóły rozvodu Bryana i rewelacje na temat Cadena. Morgan mogła sobie jedynie wyobrazić, co poczuje Bryan, kiedy dowie się, że jego prywatne życie znów trafiło na łamy brukowców.

Zapłaciwszy za gazetę, wepchnęła ją do torby z przyborami dziecięcymi. Musi złapać Bryana, porozmawiać z nim, zaoferować pomoc. Zanim dotarła do samochodu, włosy miała wilgotne od deszczu. Czym prędzej zapięła Brice'a w foteliku, złożyła wózek i schowała go do bagażnika. Potem usiadła za kierownicą i zaklęła siarczyście, kiedy silnik znów odmówił posłuszeństwa.

- Tylko nie dzisiaj!

Uderzając dłońmi o kierownicę, rozważała swoje opcje. Bryan na pewno jest w firmie. Musi do niego zadzwonić i go uprzedzić. Niestety nie miała komórki. Jeszcze nie, ale dziś na pewno kupi, obiecała sobie w myślach.

Pamiętała, że dwie przecznice temu mijala przystanek kolejki. Od firmy Bryana dzieliły ją ze cztery kilometry. Podjęła decyzję: wysiadła z auta, wyciągnęła z powrotem wózek, przykryła Brice'a dodatkowym kocikiem i ruszyła pędem przed siebie.

Był w paskudnym nastroju, kiedy wysiadł z windy. Zazwyczaj pojawiał się w biurze najpóźniej wpół do ósmej, ale dziś jadł śniadanie w klubie Rotary na drugim końcu miasta, potem miał spotkanie z przedstawicielami banku, aż wreszcie na State Street utknął w korku. Teraz dochodziła dziesiąta; za niecały kwadrans zaplanowano transkontynentalną konferencję telefoniczną w sprawie utworzenia londyńskiej filii Windy City Industries.

Ściągając mokry płaszcz, wszedł do gabinetu; tuż za nim weszła Britney, referując, kto dzwonił i w jakiej sprawie. Na zewnątrz lało jak z cebra; w oddali słyhać było grzmoty. Nie lubię poniedziałków, pomyślał Bryan, i to zanim dojrzał brukowiec leżący na stosie gazet, które codziennie czytał.

- Przepraszam, szefie - powiedziała Britney, kiedy cisnął pod nosem przekleństwo.
- Ale sądziłam, że zechce pan to zobaczyć.

Wcale nie chciał, mimo to przeczytał tytuł.

- Natychmiast połącz mnie z prawnikiem!

Skinąwszy głową, sekretarka ruszyła do drzwi, w progu jednak zawahała się.

- Jeszcze coś? - warknął.

- Tak. Dzwoniła panna Stevens. Dwukrotnie w ciągu ostatniej godziny. Przypuszczalnie też widziała gazetę.

Bryan zamknął oczy i westchnął. Ależ był naiwny, sądząc, że dziennikarze dadzą mu spokój. Niestety, nie tylko znów zaczęli się babrać w jego przeszłości, to jeszcze wciągnęli w to bagno Morgan i Brice'a. To go najbardziej zdenerwowało. Nie zamierzał puścić sprawy płazem.

- Dobrze, najpierw połącz mnie z Morgan.

- Nie mogę, szefie. Nie zostawiła żadnego numeru.

Zmarszczył czoło.

- Nie dzwoniła z domu?

- Nie. Z budki. - Britney wygładziła dół swojego żakietu. - Nie chcę się wtrącać, szefie, ale czy nie uważa pan, że panna Stevens mogła być jednym z tych „anonimowych źródeł”?

- Słucham?

- Że to z nią mógł rozmawiać autor artykułu?

- Na miłość boską, cóż Morgan miałyby do zyskania, zostając bohaterką skandalu?
- spytał, nie kryjąc irytacji.

- Nie wiem. Niektórzy ludzie lubią być w centrum uwagi. W końcu przyjechała tu w zaawansowanej ciąży, przerwała panu ważne spotkanie, zaczęła rodzić... - Na moment Britney zamilkła. - Na takiej historii można nieźle zarobić.

- Myślisz, że Morgan sprzedała się brukowcom? - W głosie Bryana nie było złości, tylko niedowierzenie.

- Ze względu na pana, mam nadzieję, że nie. Pan już dość wycierpiał. Jeżeli w czymkolwiek mogę pomóc, proszę tylko powiedzieć. A co do panny Stevens... sama nie wiem. Wiele z informacji podanych w prasie znanych jest zaledwie paru osobom. Na przykład to, że pan tak wspaniałomyślnie pozwolił pannie Stevens zamieszkać w swoim apartamencie, choć od początku nie wierzył pan, że jest ojcem jej dziecka.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

- Zatrudnił pan prywatnego detektywa, aby sprawdził jej przeszłość erotyczną. - Widząc zdziwione spojrzenie szefa, dodała pośpiesznie: - Gil Rogers przysłał rachunek oraz sporządzony przez siebie raport...

Który ona najwyraźniej przeczytała, skoro wie, w jakim celu detektyw został wynajęty.

Bryan uniósł rękę.

- Stop. Co najmniej kilka osób zna fakty, o których wspominasz, a które nie do końca pokrywają się z prawdą. I to najlepszy dowód, że Morgan nie maczała w tym palców. Bo kto jak kto, ale akurat ona dokładnie wie, jak przedstawia się sytuacja. Jeśli zaś chodzi o chęć zarobku, Morgan nie potrzebuje pieniędzy. Jest bardzo bogatą kobietą.

- Na...prawdę?

- Tak. Ale masz rację: informacje podane w gazecie pochodzą z dobrze poinformowanego źródła. Kiedy dowiem się, kto nim jest, a dowiem się na pewno, ta osoba może pożegnać się z pracą w firmie. Właściwie byłoby lepiej dla tej osoby, gdyby sama złożyła rezygnację.

Twarz Britney zbladła pod warstwą makijażu. Bryan czuł podskórnice, że właśnie znalazł zdrajcę.

- Jeżeli Morgan znów zadzwoni, natychmiast ją połącz.

- Ale telekonferencja...

- Powiedziałem: natychmiast połącz - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Ta sprawa jest ważniejsza od telekonferencji.

Kilka minut później rozpoczął rozmowę z Londynem. Morgan nie zadzwoniła po raz trzeci. Denerwował się. Gdzie ona się podziewa? Czy widziała gazetę? Czy polują na nią fotoreporterzy? Musi uzbroić się w cierpliwość i czekać, innego wyboru nie ma.

Słuchając relacji na temat przekroczonych kosztów i problemów, jakie stwarzali przedstawiciele miejscowej władzy, popadał w coraz gorszy humor. W końcu nie wytrzymał.

- Dobra, o jakiej kwocie mówimy? - spytał, pocierając czoło.

Otrzymał odpowiedź, zaklął siarczyście. Nagle w drzwiach gabinetu dojrzał Britney.

- Przepraszam cię na moment, John. - Zakrył ręką mikrofon. - Masz Morgan na drugiej linii?

- Przyszła tutaj.

Odetchnął z ulgą.

- Świetnie. Daj jej herbatę lub kawę, co woli, i powiedz, że wyjdę do niej za kilka minut.

Minęło niemal pół godziny, zanim zdołał ustalić wszystko ze swoim rozmówcą z Londynu. Trwałoby to krócej, ale nie mógł się skoncentrować na sprawach finansowych, wiedząc, że Morgan czeka za drzwiami. W dodatku od czasu do czasu słyszał cichy płacz dziecka.

Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę i wyłonił się z gabinetu, na widok Morgan przeżył szok.

- Boże kochany! Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku.

W porządku? Mokra włosy lepiły się jej do głowy. Ubranie miała przemoczone. Brice był w nieco lepszym stanie dzięki budce w wózku i dodatkowemu kocykowi. Już nie płakał; z zadowoleniem pił soczek z butelki.

- Co się stało? - spytał Bryan, zaprosiwszy Morgan z dzieckiem do gabinetu.

- Musiałam się z tobą zobaczyć.

- Jesteś przemoknięta do nitki. W dodatku trzęsiesz się z zimna. - Pomógł jej zdjąć mokry płaszcz, po czym okrył ją swoją marynarką.

Usiedli obok siebie na skórzanej kanapie, tej samej, na której kilka miesięcy temu dostała skurczy porodowych.

- Z...złapał mnie d...deszcz - powiedziała, dzwoniąc zębami. - S...samochód mi znów na...nawalił.

- On się nadaje na szmelc - rzekł Bryan, masując jej plecy.

- Wiem. I jeszcze dziś tra...fi na złom. Ale nie po to tu przyszedłam. - Przekreśliła się, tak by móc patrzeć mu w oczy. Na jej twarzy malował się wyraz z troskania. - Nie wiem, jak ci to po...wiedzieć, ale...

- Widziałaś artykuł w „City Talk”.

- Więc już wiesz?

- Britney kupiła egzemplarz gazety. - Skrzywił się. - Dlatego tu przyszedłaś w deszczu?

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić, najpierw z kawiarni, potem z budki przy kolejce nadziemnej, ale... Uznałam, że wiadomość o tym artykule powinnam przekazać ci osobiście. Tak mi przykro, Bryan.

- To nie twoja wina. Psiakrew, ty i Brice jesteście takimi samymi ofiarami, jak ja. Nawet większymi. Wciągnięto cię w tę aferę tylko z powodu mojego nazwiska.

Przekrzywiła głowę.

- To dobre nazwisko. Powinieneś być z niego dumny. Walcz, Bryan; nie puszczaj tego płazem.

- Nie zamierzam - zapewnił ją. - Rozmawiałem już z prawnikiem. Oskarżymy wydawcę o zniesławienie. Prawniki uważa, że wygramy. Autor artykułu zamieścił półprawdy i oczywiste kłamstwa, nie zadając sobie trudu, aby sprawdzić posiadane informacje.

- Jestem taka wściekła. Przedstawiono mnie jako... - Głos uwiązał jej w gardle.

Bryan przytulił ją do siebie i pocałował lekko w skroń.

- Ktoś obrzucił mnie błotem, a przy okazji ciebie ochlapał. Przepraszam.

- Jestem odporna na zabrudzenia.

Nawet jeśli tak, nie zasługiwała na takie traktowanie. Bryan wstał i podciągnął ją na nogi.

- Chodź, podrzucę cię do domu. Musisz zdjąć to mokre ubranie, inaczej się przeziębisz.

Nie spodziewała się, że Bryan zostanie. Myślała, że podwiezie ją i wróci do pracy. Zwłaszcza po tym, jak zauważyli czającego się pod domem fotografa. Zresztą portier też im powiedział, że kilku fotoreporterów usiłowało zakraść się do budynku i wjechać windą na górę. Bryan jednak zaproponował, że przewinie małego, a potem się z nim pobawi, a ona niech weźmie gorący prysznic.

Zdjęła mokre ciuchy i odkręciła ciepły strumień wody. Potem rozgrzana włożyła suche ubranie i związała wilgotne włosy w koński ogon. Nie robiła makijażu; chciała jak najszybciej zwolnić Bryana. Na pewno ma mnóstwo pracy. Ale kiedy wyszła ze swojego pokoju, Brice grzecznie spał, a Bryan nie sprawiał wrażenia człowieka, który się gdziekolwiek spieszy.

Siedział na kanapie z nogą opartą na stoliku. Po wejściu do mieszkania zdjął marynarkę, później rozluźnił krawat pod szyją i podwinął rękawy koszuli.

- Zbliża się pora lunchu - powiedziała Morgan. - Jesteś głodny?

- Nie bardzo. A ty?

- Też nie. - Mdliło ją na samo wspomnienie tego artykułu.

Usiadła obok na kanapie.

- Zadzwoń do rodziców, żeby ich uprzedzić. Ale już wiedzieli. Sąsiadka, która widziała gazetę w sklepie, doniosła im o wszystkim.

Morgan westchnęła ciężko.

- Jak zareagowali?

- Nie byli najszcześliwsi. Głównie martwią się o mnie. - Uśmiechnął się. - I o ciebie. I bardzo się cieszą, że zamieszkas w ich domku gościnnym. Nikt was tam nie będzie nękał czy nachodził. Już oni tego dopilnują.

- Ale czy moja przeprowadzka do Lake Forest nie da powodu do kolejnych spekulacji? Nie chciałabym, żeby twoi rodzice nie mogli spokojnie wyjść do ogrodu, bo przed bramą będzie na nich czekała horda fotoreporterów.

Pochyliwszy się, oparł łokcie na kolanach.

- Mają pomysł, jak temu zapobiec. Chcą zwołać konferencję prasową. - Wykrzywił usta w uśmiechu. - Wytrącić plotkarzom broń z ręki.

- Konferencję prasową?

- Tak. Oznajmić wszystkim, że Brice jest Calibornem. Że niczego nie ukrywamy, a tym bardziej niczego się nie wstydzimy. - Obróciwszy się, pogładził Morgan po policzku. - Ale decyzja należy do ciebie.

Wbiła wzrok w swoje dłonie.

- Dziwnie bym się czuła, opowiadając obcym o moim romansie z Dillonem.

- Nie musisz wdawać się w żadne szczegóły. Wystarczą fakty: że ojcem Brice'a jest Dill, a ty przyjechałaś do Chicago poznać jego rodzinę. Nie ma w tym nic złego.

- Nie ma w tym nic złego - powtórzyła cicho.

Minęły czasy, kiedy samotne macierzyństwo było stygmatem hańby, mimo to nie bardzo chciała, aby mieszkańcy Chicago dyskutowali podczas śniadania na temat jej i Brice'a.

Wstała z kanapy, podeszła do śpiącego syna, wyjęła go z wózka i pocałowała w czoło.

- Zaniosę małego do łóżeczka.

Kiedy wróciła do salonu, Bryan wciąż siedział na kanapie.

- Możemy zrezygnować z konferencji - rzekł. - Nie musisz się przed nikim tłumaczyć. Moi rodzice to zrozumieją.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Mówiłam ci, żebyś walczył, nie poddawał się. To samo mnie dotyczy. Twoi rodzice mają rację. Nie znając faktów, dziennikarze będą powielać plotki i co rusz wymyślać nowe.

Dźwignąwszy się z kanapy, podszedł do Morgan i położył ręce na jej ramionach.

- Jesteś pewna?

- Tak. Nie pozwolę, żeby mój syn był obiektem plotek.

Przytulił ją. Tym niewinnym przyjacielskim gestem chciał dodać jej otuchy, ale coś się stało. Ich ciała idealnie do siebie przylegały. Bryan obrócił głowę, wciągając w nozdrza świeży zapach Morgan. Zapach mydła, cytrusów. Potem musnął wargami jej skroń. To przeważało szalę. Ogień, który starał się w sobie zdusić, wybuchł z pełną siłą.

- Morgan... Boże, tak strasznie bym chciał... - Bryan urwał, po czym przywarł ustami do jej warg, próbując powstrzymać dalsze słowa.

Bał się tego, co zamierzał powiedzieć.

Morgan uniosła rękę. Przez materiał koszuli czuł, jak wbija mu paznokcie w skórę ramion. Podobnie jak on jej, ona też go pożądała. Nie potrafił się dłużej opanować. Jeszcze nigdy żadnej kobiety tak bardzo nie pragnął. Gładził palcami jej twarz, szyję, dekolt; pieszcząc delikatną małżowinę uszną, rozpiął pierwszy guzik bluzki, potem drugi i trzeci. Doszedłszy do ostatniego, zacisnął dłoń na piersi. Nad jego uchem rozległo się ciche mruczenie.

- Jesteś cudowna...

- To szaleństwo. - Morgan cofnęła się krok, zasłaniając ciało. Włosy miała potargane; kilka kosmyków wysunęło się z gumki i opadało swobodnie na ramiona.

Oddychając ciężko, Bryan wpatrywał się w nią bez słowa. Szaleństwo?

- Ja... Nie możemy!

Dlaczego? - chciał zapytać. Co stoi temu na przeszkodzie? Są dorośli, oboje pragną tego samego...

- Czy możemy udąć, że... że tego nie było?

Kiedy pocałował ją pierwszy raz, też tak udawali.

Próbował wymazać pocałunek z pamięci, ale nie bardzo mu to wychodziło. Wiedział, że teraz również się nie uda. Skinął jednak głową.

- Jeśli chcesz.

- Tak będzie rozsądniej. Zważywszy na wszystko...

Ruszył po swój płaszcz. Chociaż ciało miał rozpalone z pożądania, odrzekł:

- W porządku. Nic się nie wydarzyło.

Po wyjściu Bryana Morgan osunęła się na kanapę. Ze wstydu miała ochotę zapaść się pod ziemię. Tak ochoczo odwzajemniała pocałunek! A jakie myśli jej krążyły po głowie! Wciąż czuła mrowienie na plecach, ucisk w żołądku, ogień w sercu.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Rok temu, kiedy była pogrążona w żalu po stracie rodziców, uległa czarowi Dillona. Teraz też była zagubiona. Zagubiona i zakochana po uszy. Tylko nie wiedziała, kiedy ani jak to się stało.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Calibornowie zwołali konferencję prasową na następny dzień. Morgan zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu odkładać tego na później, tym bardziej że tematem zainteresowały się również normalne dzienniki. Biorąc jednak pod uwagę to, co zaszło między nią a Bryanem niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, po prostu była kłębkim nerwów. Jak sobie poradzi, stojąc przed tłumem dociekliwych dziennikarzy i tłumacząc im, że relacje, które łączą ją i Bryana, są natury platonicznej?

Włożyła kostium, który kupiła na pierwsze spotkanie z Calibornami. Chociaż zdeponowała w banku czek od Bryana, nie miała czasu chodzić po sklepach i szukać czegoś innego. Zastanawiała się, czy ktoś skojarzy, że to jest ten sam strój, który miała na sobie, kiedy zrobiono zdjęcie. Brice'a mogła ubrać w cokolwiek; to było bez znaczenia. Zamierzała owinąć go w kocyk, tak by tylko nosek był widoczny. Nie chciała, by kosztem jej dziecka gazety powiększały sobie nakład.

Bryan przysłał po nią samochód. Konferencję zaplanowano na dziesiątą w Windy City Industries.

Kiedy przybyła na miejsce kilka minut po dziewiątej, wprowadzono ją do sali konferencyjnej, w której po raz pierwszy zobaczyła prawdziwego Bryana Caliborna. Dziś również znajdował się przy końcu długiego stołu, tyle że stał, a nie siedział, a przed sobą miał baterie mikrofonów, a nie teczkę z dokumentami. Wyglądał równie elegancko i władczo jak tamtego dnia przed paroma miesiącami. Wtedy jednak na jej widok zmarszczył gniewnie czoło, a dziś uśmiechnął się przyjaźnie.

Na miejscu byli także Julia z Hugh. Julia uścisnęła ją, po czym wzięła od niej Brice'a, który zasnął podczas jazdy samochodem. Po chwili podszedł Hugh.

- Przekłete sępy - mruknął, całując Morgan w policzek. - Miasto tak wiele zawdzięcza naszej firmie, że dziennikarze naprawdę mogliby wykazać trochę taktu i nie wtrącać się do naszych prywatnych spraw.

Kiedy Hugh cofnął się, Bryan podał jej filiżankę herbaty.

- Denerwujesz się? - spytał cicho.

- Tak. - Ale bardziej denerwowała się z powodu tego, co czuje do tego mężczyzny przed sobą, niż z powodu tłumu dziennikarzy czekających na zewnątrz.

- Ty jesteś doświadczony, a ja... to moja pierwsza konferencja.

- Brałem udział w kilku, ale też się denerwuję - przyznał. - Wolałbym odpowiadać na pytania dotyczące spraw zawodowych, a nie życia prywatnego. Przejrzałeś te notatki, które ci wczoraj wysłałem?

Skinęła głową. Przysłał na jej adres elektroniczny listę pytań, jakie przypuszczalnie padną, oraz sugestie, jak najlepiej na nie odpowiadać: prosto, szczerze, krótko.

- Pamiętaj, sama z siebie nie udzielaj dodatkowych informacji. Jeżeli jakieś pytanie wyda ci się kłopotliwe czy krępujące, pomini je milczeniem. Dziennikarze nie muszą znać wszystkich szczegółów.

Miała nadzieję, że jakoś sobie poradzi. W końcu po to Calibornowie zwołują konferencję: by przedstawić fakty. Wtedy dziennikarze dadzą rodzinie spokój.

Rozległo się pukanie do drzwi, po chwili jakaś młoda kobieta wsunęła głowę do środka.

- Panie Caliborn, poczekalnia jest pełna. Czy mam zacząć ich wpuszczać?

- Za pięć minut.

- Kto to? - spytała Morgan.

- Moja nowa sekretarka. - Bryan zacisnął gniewnie usta.

- A co się stało z Britney?

- Bardzo mądrze uznała, że powinna złożyć wymówienie.

Stali na końcu sali: Bryan, za nim Morgan z Brice'em na rękach, po jej prawej ręce Julia, po lewej Hugh. Długi stół zastawiony mikrofonami nie pozwalał dziennikarzom i fotografom podejść zbyt blisko. Ale mimo paru metrów, jakie ją od nich dzieliły, Morgan widziała wyraz podniecenia i ciekawości w ich twarzach. Kiedy wszyscy już weszli i hałas ucichł, Bryan odchrząknął i złożył przygotowane oświadczenie.

- Dziękuję państwu za przybycie. Jak wiecie, niedawno w „City Talk” ukazał się artykuł na temat mojej rodziny, artykuł pełen insynuacji i kłamstw. Autor nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby sprawdzić, co jest prawdą, a co fikcją. Zamierzam podać go

do sądu o zniesławienie. Państwa zaprosiliśmy tutaj, żeby sprostować informacje. A więc po pierwsze, dziecko, o którym była mowa w artykule, jest Calibornem.

Aparaty poszły w ruch, błyskały flesze. Dziennikarze jeden przez drugiego zaczęli zadawać pytania. Ignorując ich, Bryan kontynuował:

- Chłopczyk nazywa się Brice Dillon Stevens i jest synem mojego zmarłego brata.

Rozległ się nieopisany zgiełk. Bryan poddał się; zamiast przekrzykiwać tłum, wskazał na bliżej stojącą dziennikarkę.

- Leslie Michaelson z „City Talk” - przedstawiła się kobieta. - Nie ja napisałam artykuł, który ukazał się w mojej gazecie...

- Szmatałwcu, a nie gazecie - mruknęła Julia.

Słyszając takie określenie z ust poważnej, zazwyczaj bardzo uprzejmej damy, reszta dziennikarzy parsknęła śmiechem.

Leslie Michaelson ciągnęła niezrażona:

- Osoba blisko związana z Windy City Industries dała nam do zrozumienia, że to pan jest ojcem dziecka. Czy zaprzecza pan, że panna Stevens, jeszcze będąc w ciąży, wielokrotnie usiłowała się z panem skontaktować i umówić na rozmowę?

- Nie zaprzeczam. Panna Stevens faktycznie przysłała do firmy, szukając ojca swojego dziecka. Ponieważ Dillon nie żyje, prosiłem mojego prawnika, żeby się wszystkim zajął.

Morgan słuchała go zafascynowana. Zaimponował jej. Podawał prawdziwe informacje, opuszczając drobne detale.

- Mam pytanie do panny Stevens - rzekł inny dziennikarz. - Gdzie się państwo poznali, pani i Dillon Caliborn?

- Na urlopie. Dillon był niezwykle czarującym człowiekiem. Wprost nie mogłam uwierzyć, że nie żyje.

Dziennikarz otworzył usta, najwyraźniej zamierzając ją dopytać o szczegóły, ale zanim zdolał cokolwiek powiedzieć, Bryan udzielił głosu jego koledze.

- Czy mają państwo jakiegokolwiek wątpliwości, że dziecko panny Stevens jest waszym wnukiem?

- Najmniejszych. - Julia uśmiechnęła się promiennie.

- To stuprocentowy Caliborn - oznajmił Hugh. - Kto wie, może w przyszłości to właśnie on będzie zwoływał tu konferencje prasowe i odpowiadał na wasze pytania, a ja wreszcie będę miał święty spokój.

Dziennikarze roześmiali się. Ale ten, który zadał ostatnie pytanie, jeszcze nie skończył. Tym razem zwrócił się do Bryana:

- Jeśli chodzi o syna, którego urodziła pańska była żona, uznał pan, że należy wykonać test na ojcostwo. Czy tym razem również wykonano taki test?

Morgan przyjrzała się uważnie Bryanowi. Nie zdołała nic wyczytać z jego twarzy, ale wiedziała, jak bardzo musiało go zabołec pytanie. Miała ochotę nakrzyczeć na dziennikarzy, pokazać im drzwi.

- Test nie jest potrzebny. Mam stuprocentowe zaufanie do panny Stevens.

- To dlatego wynajął pan prywatnego detektywa i kazał mu sprawdzić, z kim jeszcze spotykała się w czasie, kiedy zaszła w ciążę?

Tego pytania Morgan zupełnie się nie spodziewała.

Poczuła się tak, jakby dostała obuchem w głowę. Wciągnęła z sykiem powietrze, po czym zakasłała i podniosła rękę.

- Może ja odpowiem - rzekła.

Znów błysnęły flesze. Tuląc do siebie Brice'a, tak by jego twarz była ukryta przed wzrokiem ciekawskich, podeszła do mikrofonu.

- To ja poprosiłam o detektywa - skłamała. Chociaż zabolęła ją nieufność Bryana, stanęła po jego stronie. - Państwo Calibornowie od pierwszej minuty zaakceptowali mnie i mojego syna. Okazali mi wielkie serce. Wiedząc jednak o tym, co ich spotkało w przeszłości, chciałam, żeby sytuacja była jasna od samego początku. Żeby nigdy w niczyjej głowie nie zaległy się żadne podejrzenia. Chociaż oni uważali testy za niepotrzebne, uznałam, że lepszy jest nadmiar informacji niż ich brak.

- Nadal pani mieszka w apartamencie pana Caliborna? - zawołał ktoś z tyłu sali.

- Dziś się wyprowadzam, a Bryan wprowadza się z powrotem. Udostępnił mi swoje mieszkanie. Jestem mu ogromnie wdzięczna.

- Dokąd się pani zamierza przenieść?

- Naprawdę uważacie, że podam wam swój nowy adres?

Odpowiedział jej śmiech. Padło jeszcze kilkanaście pytań, takich, które były do przewidzenia i na które Calibornowie z łatwością udzielili odpowiedzi. W końcu Bryan oznajmił:

- Proszę państwa, ostatnie pytanie.

Ostatnie. Morgan odetchnęła z ulgą, dopóki go nie usłyszała.

- Panie Caliborn, co łączy pana z panną Stevens?

Gdyby pytanie zostało skierowane do niej, zaczęłaby się jąkać, coś by wydukała, spociła się. Ale Bryan nie dał się zbić z tropu. Bez cienia wahania w głosie rzekł:

- Co mnie łączy z panną Stevens? To chyba oczywiste. Jej syn jest moim bratanikiem, a ponieważ mojego brata nie ma już wśród żywych, czuję się w obowiązku zaopiekowania się zarówno dzieckiem, jak i jego matką.

Morgan przypomniała sobie, co jej powiedziała Britney, kiedy przywiozła ją ze szpitala do apartamentu: „Pan Caliborn bardzo poważnie traktuje swoje obowiązki”.

Wiedziała, że tak jest. Że Bryan Caliborn jest człowiekiem, który nie boi się odpowiedzialności i sumiennie wypełnia obowiązki. Ale miała nadzieję, że jej, Morgan Stevens, nie traktuje w kategoriach obowiązku.

Bryan odprowadzał wzrokiem ociągających się dziennikarzy, którzy wolnym krokiem opuszczali salę i wsiadali do windy. Ucieszył się, kiedy ostatni znikł mu z oczu. Wreszcie byli sami. Julia z głośnym westchnieniem ulgi opadła na krzesło.

- Uważam, że poszło całkiem nieźle - powiedziała.

- Hieny! - mruknął Hugh. - Ale przynajmniej mamy to z głowy.

Morgan stała w głębi pokoju, oparta o ścianę, i kołysząc w ramionach Brice'a, wpatrywała się w jakąś niewidoczny pyłek na dywanie. Jej milczenie zaniepokoiło Bryana; podejrzewał, że zna jego przyczynę.

- Mamo, czy mogłabyś wziąć Brice'a i przejść z ojcem do mojego gabinetu? Chciałbym porozmawiać z Morgan.

Chwilę później za rodzicami zamknęły się drzwi.

- Wiem, że to było stresujące. Dziennikarze potrafią być brutalni. Jak się trzymasz?

- W porządku.

Kłamczucha, pomyślał. Ale nie powiedział tego na głos. W końcu on też skłamał, może nie wprost, ale przez pominięcie prawdy o Gilu Rogersie.

- Słuchaj, jeśli chodzi o prywatnego detektywa...

Potrząsnęła głową, jakby prosząc, by nie kontynuował tego wątku.

- Nie, Bryan. Nie musisz się tłumaczyć. Nie wiedziałam, że zatrudniłeś detektywa, ale wiedziałam, że mi nie ufasz. Dałeś mi to jasno do zrozumienia.

- Tak, ale to było na początku. Zanim...

Zanim ją lepiej poznał i uświadomił sobie, jaką jest niesamowicie silną, dzielną i mądrą kobietą.

Zanim ją wziął w ramiona i pocałował.

Zanim w jego uporządkowanym świecie zapanował chaos.

Zanim się w niej zakochał.

Zaskoczyła go ta ostatnia myśl. Zaskoczyła i przeraziła. Miłość? Dobry Boże! Te-go się nie spodziewał.

Oczywiście nie spodziewał się wielu rzeczy, z którymi przyszło mu się zmierzyć.

Morgan przyglądała mu się; czekała na dalszy ciąg.

- Pozwoliłem, żeby przeszłość mnie zaślepiła. Ale ty w niczym nie przypominasz mojej byłej żony. Z miejsca powinienem był to dostrzec i uwierzyć, że mówisz prawdę.

- Ale ja cię naprawdę rozumiem - powiedziała.

Stała jednak sztywno wyprostowana, obejmując się w pasie rękami. Język jej ciała wyraźnie wskazywał, że coś ją dręczy. Że czuje się skrzywdzona.

- Mimo to bardzo cię przepraszam. Niepotrzebnie byłem taki podejrzliwy, a ty miałaś dość własnych zmartwień... Wiem, co spotkało twoich rodziców.

- Detektyw ci powiedział?

Bryan skinął głową; gnębiły go wyrzuty sumienia.

- To straszna tragedia. Nie umiem sobie wyobrazić, co musiałaś czuć. I jeszcze ten mój kretyński upór... Brice od kilku miesięcy mógłby mieć dziadków, a dziadkowie wnuka. Żałuję, że zachowałem się jak idiota.

Bardziej jednak żałował czegoś innego. Dillon poznał Morgan na Arubie, oczarował ją, uwiódł, potem się rozstali. Ona urodziła dziecko, a on zginął w nieszczęśliwym

wypadku, osierocając syna, o którego poczęciu nawet nie wiedział. Dlaczego los tak zrządził? Dlaczego to on, Bryan, pierwszy nie spotkał Morgan? Dlaczego on nie został ojcem Brice'a?

- Ważne jest to, że wszystko się dobrze ułożyło. - Morgan wskazała drzwi. - Myślisz, że to już koniec? Że dadzą nam spokój?

- Mam nadzieję. - Przeczesał dłonią włosy. - Nie chcę natykać się na dziennikarzy za każdym razem, kiedy opuszczam biuro albo wracam do domu. Po to zwołaliśmy tę konferencję: żeby nikt już więcej nas nie śledził, nie robił zdjęć z ukrycia...

Morgan rozciągnęła usta w czymś, co miało być uśmiechem.

- Innymi słowy, cel został osiągnięty.

Kilka godzin po konferencji prasowej Morgan wyprowadziła się z apartamentu Bryana, a Bryan ponownie się do niego wprowadził. Rzeczy osobiste Morgan zniknęły, ale ślady jej niedawnej obecności były widoczne na każdym kroku. Czerwone poduszki na kanapie, kolorowa narzuta, pachnące świece nad kominkiem, bieżnik na stole w jadalni, inne ustawienie mebli. W krótkim czasie, kiedy tu mieszkała, zdołała przerobić sterylne bezosobowe wnętrza na prawdziwy dom. Tyle że bez niej i Brice'a to już nie był dom. Kiedy Bryan wrócił z pracy, rozejrzał się wkoło i nagle poczuł się straszliwie samotny.

Tak, samotny. Nie wstydził się do tego przyznać.

W ciągu następnych tygodni przekonał się, że wraz ze zmianą adresu zmieniły się również ich relacje. Czy Morgan żałowała tych paru namiętnych pocałunków? Po ostatnim powiedziała, że powinni udawać, że do niczego między nimi nie doszło. Może zdołała o nich zapomnieć?

Jemu się to niestety nie udało. Codziennie w nocy długo nie mógł zasnąć; rozpałmiętywał to, co było, i to, o czym wciąż marzył. Nie bardzo jednak wierzył, że jego marzenia się spełnią. Morgan traktowała go przyjaźnie, lecz trzymała na dystans; w dodatku ich spotkania zawsze miały miejsce pod czujnym okiem Julii i Hugh.

Bryan cierpiał. Ona jednak zdawała się tego nie widzieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W połowie listopada Morgan znalazła dla siebie piętrowy dom w stylu Tudorów, w pięknej zielonej dzielnicy leżącej kilka kilometrów od posiadłości Calibornów. Dom był nieduży, zwłaszcza w porównaniu z domem Julii i Hugh - składał się z kuchni, salonu, czterech sypialni oraz trzech łazienek - ale w zupełności zaspokajał jej potrzeby. Zakończyła się w nim od pierwszego wejrzenia.

Dookoła ciągnął się sporych rozmiarów ogród. Rosły w nim dwa potężne dęby, na których można by zawiesić oponę do huśtania lub zbudować domek na drzewie.

Co do krzewów, kwiatów... Morgan liczyła na to, że Julia podsunie jej kilka pomysłów, jak upiększyć teren. Poprzedni właściciele przeprowadzili się do innego stanu; dom stał pusty, a to oznaczało, że może się do niego wprowadzić, gdy tylko załatwi wszystkie formalności. Miała nadzieję, że zdąży przed Świętem Dziękczynienia. W najgorszym razie przed Bożym Narodzeniem. Cieszyła się na samą tę myśl. Chociaż dobrze się jej mieszało u Calibornów, a Julia z Hugh szanowali jej prywatność, marzyła o własnym domu, który od początku do końca mogłaby urządzić po swojemu.

Dziś była umówiona z Bryanem. Chciała mu pokazać działkę i dom, a także spytać o jego opinię, zanim wpłaci pieniądze. Czekwała w samochodzie zaparkowanym na podjeździe. Samochód był nowy - kupiła go parę dni po tym, kiedy stary po raz kolejny odmówił posłuszeństwa - i wyposażony w różne niewidoczne elementy zwiększające bezpieczeństwo. W testach na najbardziej bezpieczny samochód zajął pierwsze miejsce.

Chmara opadłych z drzew liści wzbijała się w powietrze, kiedy lexus Bryana zatrzymał się przy krawężniku. Oboje wysiedli, Bryan ze swojego auta, Morgan ze swojego; spotkali się na brukowanej ścieżce prowadzącej do frontowych drzwi. Bryan, który przyjechał prosto z biura, miał na sobie ciemny garnitur. Ale uśmiechał się ciepło, serdecznie. Morgan poczuła szybsze bicie serca.

Od czasu pamiętnej konferencji prasowej ani razu nie przebywali sam na sam. Bardzo tego pilnowała. Teraz też nie będą sami. Agentka się spóźniła, ale zaraz powinna przyjechać z kluczami, by wpuścić ich do środka i ewentualnie odpowiedzieć na pytania Bryana.

Może, przemknęło Morgan przez myśl, źle zrobiła, zostawiając Brice'a pod opieką dziadków. Z dzieckiem na ręku nie korciłoby jej, aby rzucić się Bryanowi w ramiona.

- Witaj, Morgan.

- Cześć.

Niska temperatura sprawiła, że z ust obojga wypływały obłoczki pary. Przez chwilę patrzyli na siebie lekko skrepowani.

- No i jak ci się podoba okolica? - spytała Morgan.

Wsunąwszy ręce do kieszeni spodni, rozejrzał się dookoła.

- Bardzo. Jest cicho, spokojnie. Domy tu na pewno nie tracą na wartości.

- Zachwycają mnie te stare drzewa. - Morgan wskazała na wielki dąb o żółtych liściach. Większość już spadła, odsłaniając wysoko na gałęziach zbudowane przez wieśniorkę gniazdo.

- Kiedy Brice trochę dorośnie, będzie miał gdzie szaleć.

- O, tak. Najchętniej już by zaczął ganiać. Dziś rano przekreślił się na brzusek, a potem uniósł na kolana. Tylko patrzeć, jak zaczniesz raczkować i ściągać wszystko na podłogę.

Bryan zerknął w stronę samochodu.

- Nie przywiozłaś go?

- Nie. Został z babcią.

W tym momencie pod dom zajechała agentka. Przeprósiwszy za spóźnienie, otworzyła pośpiesznie drzwi i zaprosiła swoich klientów do środka.

- Jeśli państwu nie przeszkadza, to poczekam na zewnątrz - powiedziała. - Muszę wykonać parę telefonów. Ale proszę się nie spieszyć.

Morgan przełknęła ślinę. Co miała zrobić? Skinęła głową na znak zgody. Drzwi się za nim zamknęły z głuchym trzaskiem. W pustym domu zadudniło echo.

- Spójrz na parkiet. Jest stary, niezmienny, ale w znakomitym stanie.

- Widzę.

Wskazała pokój na lewo.

- Może zaczniemy zwiedzanie od jadalni?

Dziesiątki myśli krążyły mu po głowie, ale nie dając nic po sobie poznać, chodził cierpliwie od pokoju do pokoju i z zainteresowaniem słuchał, jakie Morgan planuje wprowadzić zmiany i co gdzie zamierza postawić. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że ona już kocha ten dom. Nic dziwnego. Chociaż nie było mebli, a ściany aż się prosiły o świeżą warstwę farby, czuło się tu przyjazny swojski nastrój. Brakowało tylko domowników.

Zaglądając to tu, to tam, oczami wyobraźni Bryan wszędzie widział Morgan. Odpoczywając w salonie przy kominku, tłumaczyła synkowi, dlaczego nie wolno zbliżać się do płomieni. W kuchni piekła ciasteczka i przy ustawionym w kącie stole piła gorące kakao. W bibliotece siedziała z Brice'em na wielkiej miękkiej kanapie i wolno przewracała strony książki z obrazkami.

A w sypialni na piętrze leżała na ogromnym łóżku, ubrana w białą satynową koszulę, i z ponętym uśmiechem na twarzy wyciągała do niego rękę.

- Coś nie tak?

Pytanie wyrwało go z zadumy.

- Słucham?

- Krzywisz się. Nie podoba ci się dom?

- Przeciwnie. Bardzo mi się podoba. Potrafię sobie wyobrazić, jak tu mieszkasz - przyznał.

Problem polegał na tym, że siebie też tu potrafił sobie wyobrazić. Razem z Morgan i Brice'em. A także z innymi dziećmi, ich wspólnymi, które zapełnią pozostałe sypialnie. Po swoich wcześniejszych doświadczeniach nie przypuszczał, że kiedykolwiek znów będzie chciał mieć żonę i dzieci, że będzie gotów się ponownie otworzyć, oddać jakiejś kobiecie serce. A tak było. Pragnął zostać mężem i ojcem. Wiedział, co sprawiło, że zmienił zdanie. A raczej kto to sprawił. Tę osobę miał przed sobą. Ale ona go nie potrzebowała; chciała wieść własne życie.

- Więc uważasz, że nie powinnam się wahać? - spytała, nie kryjąc podniecenia. - Że powinnam kupić ten dom?

- Tak. To dobra inwestycja. Ale zważywszy na obecną sytuację na rynku nieruchomości, zaoferowałbym niższą cenę od żądanej.

- Też tak myślałam. Zwłaszcza że właściciele już wyjechali. Czyli będzie im zależało na szybkiej sprzedaży.

Bryan odchrząknął.

- À propos wyjazdu... W przyszłym tygodniu lecę do Londynu.

- Omawiać plany rozwoju firmy? - Słyszała, jak dyskutował z ojcem na temat otwarcia nowej filii w Anglii.

Skinął głową.

- Tak. Znow mamy trudności. Wygląda na to, że nowy budynek będzie gotów dopiero latem, a to oznacza półroczny poślizg i przekroczenie kosztów o prawie trzy miliony dolarów. Może moja obecność sprawi, że roboty nabiorą tempa.

- Długo cię nie będzie?

- Co najmniej miesiąc. Trzy lub cztery, jeśli będziemy musieli składać apelację.

Morgan wyraźnie się stropiła.

- Czyli nie będzie cię tu na święta?

Kąciki ust mu zadrżały.

- Na szczęście w dzisiejszych czasach latają samoloty. Ale będzie mi brak... -
Urwał.

Nie mógł dłużej wytrzymać. Musiał jej dotknąć, choćby pogłodzić lekko po policzku. Tak też zrobił; przytknął dłoń do jej twarzy. Marzył o tym, aby ta chwila trwała w nieskończoność.

- Czego ci będzie brak? - spytała cicho Morgan, patrząc mu głęboko w oczy.

- Brice'a. Dzieci tak szybko się zmieniają, dorastają. - Przełknął ślinę. - I ciebie, Morgan. Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Przywarł ustami do jej warg. Pocałunek był lekki, niewinny; w każdej chwili mógł go przerwać. Ponieważ się nie cofnęła, Bryan przytulił ją do siebie, usiłując wyrazić pocałunkiem to wszystko, czego nie potrafił wyrazić słowami. To Dillon był krasomówcą, mistrzem perswazji. Był również człowiekiem spontanicznym, który żył teraźniejszością, nie zastanawiając się nad tym, co przyniesie jutro. Pod tym względem Bryan różnił się od brata; zanim skoczył, zawsze dokładnie sprawdzał, gdzie wyląduje.

W jego głowie zaczął kiełkować pewien plan. Bryan opuścił ręce. Potrzebował czasu, aby dopracować strategię. Dwadzieścia cztery godziny powinny wystarczyć.

- Morgan, muszę wracać do pracy - rzekł. - Ale czy mogę wpaść do ciebie jutro wieczorem?

- Oczywiście.

- Poproś moją mamę, żeby zaopiekowała się Brice'em. Chciałbym z tobą coś przedyskutować.

Biorąc kilka głębokich oddechów, Morgan znów zaczęła krążyć po salonie. Była kłębkim nerwów.

Brice przebywał z dziadkami w ich domu, a ona czekała na Bryana, który wkrótce powinien się pojawić.

Trzy razy zmieniała strój, zanim w końcu wybrała sweter w kolorze gorzkiej czekolady i tweedowe spodnie. Za swój brak zdecydowania winiła wczorajszy pocałunek i to, jak Bryan na nią patrzył.

Był człowiekiem skrytym, którego nie umiała rozszyfrować, ale kiedy stali wczoraj w pustej sypialni na piętrze, a przez okno wpadały promienie słońca, wydawało jej się, że w jego oczach widzi błysk - błysk czegoś, co nie wynika ani z pożądania erotycznego, ani z poczucia obowiązku. Przeszył ją dreszcz, tym bardziej że chwilę wcześniej usłyszała, że podczas pobytu w Londynie Bryan będzie tęsknił za nią i za Brice'em. Oczywiście chwilę później, kiedy spytał, czy może ją nazajutrz odwiedzić, znów był chłodny i zamknięty w sobie.

Poprawiała błyszczący na ustach, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek. Przyjechał przed czasem. Nie była pewna, co to oznacza. Nie wiedziała też, o czym chce z nią porozmawiać.

- Dobry wieczór.

- Cześć, Bryan. - Odsunęła się, zapraszając go do środka. Była zadowolona, że udało jej się zachować neutralny ton głosu. - Powiesić twój płaszcz?

Podał jej płaszcz i butelkę wina. Wciąż karmiła piersią, ale uznała, że jeden kieliszek jej nie zaszkodzi. Wcześniej ściągnęła mleko, które zostawiła u Julii, poza tym za-

częła przyzwyczajając małego do gotowej mieszanki mlecznej, po której grzecznie w nocy spał.

Kiedy wróciła z dwoma kieliszkami wypełnionymi czerwonym winem, Bryan stał przy kanapie. Wziął swój kieliszek, po czym postawił go na stoliku i wyprostował się, jakby się szykował do stoczenia walki.

- Chcę, żebyście ty i Brice poleciecieli ze mną do Londynu - oznajmił.

Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

- C...co? - Morgan omal nie rozlała wina.

Wyjął jej kieliszek z ręki i postawił obok swojego.

- Wiem, że to nie jest długi wyjazd, nie będzie mnie zaledwie kilka miesięcy, ale chciałbym mieć cię przy sobie.

- Naprawdę?

- Nawet nie tyle chcę, żebyś pojechała ze mną do Londynu, co żebyś zgodziła się wyjść za mnie za męża.

Serce zabiło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej. Morgan czekała w napięciu na wyznanie miłości, a jeśli nie wyznanie miłości, to choćby parę słów o tym, co on do niej czuje.

- To rozsądny pomysł. Z wielu powodów.

- Rozsądny pomysł? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. - Małżeństwo to rozsądny pomysł?

- Tak, absolutnie.

Ze strachu, że nogi się pod nią ugną i zwali się na ziemię, usiadła na kanapie. Bryan, splótnszy ręce na plecach, zaczął chodzić tam i z powrotem. Głosem pełnym przekonania, lecz kompletnie pozbawionym żaru, tłumaczył, dlaczego uważa, że powinni się pobrać. Morgan miała wrażenie, że słucha faceta przemawiającego na zebraniu w firmie, a nie człowieka, który przed chwilą się jej oświadczył.

- Brice należy do rodziny Calibornów; w przyszłości przejmie jeden z największych biznesów w kraju. Kiedy dorośnie, może, choć oczywiście nie musi, zarządzać firmą, którą po wielkim pożarze założył jego prapradziadek.

- Nie próbowałabym go powstrzymywać.

- Kocham tego malca. Z początku nie umiałem okazać uczucia, ale pokochałem go od pierwszego dnia.

- Wiem.

- Wszystko bym dla niego zrobił. - Tak jak zrobiłby wszystko dla Dillona? - Pragnę wziąć go pod swoje skrzydła, zaopiekować się nim. - Tak jak starał się opiekować młodszym bratem? - Pragnę również zaopiekować się tobą. - Dlatego, że Dillon nie może?

Powinność, obowiązek, sumienność. Dla Morgan były to niewystarczające powody, aby kogoś poślubić.

- Ale małżeństwo... - zaczęła.

- To idealne rozwiązanie.

Rozwiązanie? Czyli Bryan podchodził do małżeństwa jak do problemu, który należy rozwikłać. Ogarnął ją smutek.

- Pasujemy do siebie, Morgan. Lubię spędzać z tobą czas.

Utkwił wzrok w jej ustach. Hm, czyżby dojrzała w jego oczach wyraz tęsknoty? Pożądania? Chyba nie, uznała, kiedy ciągnął:

- Mamy podobny gust, jeśli chodzi o jedzenie na wynos i meble.

Zmrużyła oczy.

- Twoim zdaniem to, że oboje lubimy chińszczyznę i świeczki oznacza, że stworzymy udane małżeństwo?

- Wiesz, że nie to miałem na myśli. - Zmarszczył czoło, jakby zrozumiał, że podąża niewłaściwą drogą.

- Po prostu wiele znanych mi par pobrało się tylko dlatego, że czuło do siebie pociąg fizyczny.

- To źle? - zdziwiła się.

- Sam pociąg nie wystarczy, żeby być z sobą do końca życia.

To prawda, przyznała w duchu. Ale wciąż nie padło ani jedno słowo o miłości, miłość zaś była jedynym powodem, dla którego ona, Morgan, mogłaby wyjść za mąż.

- Byłbym wiernym mężem. Oczywiście od ciebie też oczekiwałbym wierności. I zawsze bym cię wspierał. We wszystkim. - Zadumał się. - Na przykład gdybyś chciała

dalej pracować w ośrodku kultury, ucząc dzieci muzyki, nie miałbym nic przeciwko temu.

- Dziękuję. Jesteś bardzo łaskawy!

- Chodzi mi o to, że... no, że nie byłabyś ograniczona tylko do tego. Mogłabyś założyć własny ośrodek kultury. Albo w inny sposób przybliżać dzieciakom muzykę. My, Calibornowie, jesteśmy filantropami.

- Jesteście również, a raczej ty jesteś, strasznymi tyranami. - Morgan wstała z kanapy. Już dość się nasłuchiwała. Więcej nie zamierzała. Bała się, że jej serce pęknie z bólu. Skrzyżowawszy ręce na piersi, popatrzyła Bryanowi w oczy. - Jakim prawem mówisz mi, co mogę, a czego nie mogę? Naprawdę sądzisz, że do szczęścia wystarczy mi zgodność charakterów? To, że oboje lubimy chińszczyznę? Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to wyłącznie z miłości!

- Ale...

Nie dała mu dojść do słowa.

- A jeśli chodzi o Brice'a, nie musisz się obawiać, że pozbawię go jego dziedzictwa. Zdradzę ci, że zamierzam wystąpić o zmianę jego nazwiska ze Stevens na Caliborn. Bo jak słusznie zauważyłeś, mały jest Calibornem.

- Ale ja nie...

- Co ty nie? Nie chciałeś mnie urazić? Nie chciałeś upokorzyć, zlekceważyć? Ale zrobiłeś to. Myślałam... - Potrząsnęła głową; nie, nie będzie się przed nim odsłaniać. - Zresztą nieważne, co myślałam. Nie miałam racji.

- Ważne. Dla mnie bardzo ważne.

Wskazała palcem drzwi.

- Idź, Bryan. Zostaw mnie. Może wydaje ci się, że mamy z sobą mnóstwo wspólnego, mnie jednak nie przychodzi do głowy ani jedna rzecz.

- Morgan...

Kiedy nie wykonał żadnego ruchu w stronę drzwi, sama do nich podeszła i nacisnęła klamkę.

- Proszę cię, wyjdź. Może dobrze się składa, że wkrótce wyjeżdżasz. Chętnie od ciebie odpocznę. A kiedy wrócisz, będę już mieszkała we własnym domu. Sytuacja będzie mniej napięta.

Niepocieszony przystanął w progu.

- Jesteś na mnie zła?

- Owszem. Jestem zła. I bardzo rozczarowana. Ale nie obawiaj się; nie zabronię tobie ani twoim rodzicom widywać się z Brice'em. Przyjechałam do Chicago, bo chciałam, żeby mój syn miał kontakt z rodziną swojego ojca. To się nie zmieniło. Wiele można mi zarzucić, ale na pewno nie mściwość czy złośliwość.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- Cieszę się.

- Źle to wszystko rozegrałem...

I w dalszym ciągu źle rozgrywasz, pomyślała Morgan.

- Posłuchaj, Bryan, małżeństwo nie powinno być żadnym „rozwiązaniem”. Wiem, że zostałeś skrzywdzony. To, co cię spotkało, sprawiło, że trudno ci znów zaufać kobiecie. Ale w małżeństwie chodzi o miłość. Ludzie powinni się pobierać dlatego, że się kochają. Dlatego, że nie wyobrażają sobie życia bez siebie, a nie dlatego, że jedno chce naprawić krzywdę czy błąd, jaki tej drugiej osobie wyrządził ktoś z jego rodziny.

Zamknęła drzwi, zanim Bryan zdążył odpowiedzieć. Nie chciała więcej słuchać jego racjonalnych wyjaśnień.

Zmarnował okazję. Wszystko zepsuł. Spaprał do potęgi. Siedział na leżaku nad basenem i odtwarzał w myślach rozmowę. Tak jak zamierzał, przedstawił Morgan swoje argumenty, swój punkt widzenia. Kiedy wczesnym rankiem ćwiczył przed lustrem, argumenty te brzmiały rozsądnie.

Zwiesił głowę, potarł ręką twarz. Rozsądnie? Chryste, ależ był idiotą! Dźwignąwszy się z leżaka, doszedł do głównego domu i przystanął na patio. Przez okno gabinetu widział rodziców bawiących się z Brice'em, który leżał na rozłożonym na podłodze kocu.

Znów byli szczęśliwi. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nikt i nic nie zastąpi im Dillona, ale obecność wnuka w znacznej mierze stępiła ostrze ich bólu. Obecność wnuka i obecność Morgan, która opuściła Wisconsin, aby być bliżej Calibornów. Pomogła Julii i

Hugh odzyskać radość życia; pomogła też jemu, Bryanowi, uporać się ze stratą brata i dziecka, które przez pewien czas uważał za swoje.

Zamiast wystąpić do sądu o alimenty, pokazała im Brice'a, pozwoliła im się nim cieszyć. Co ją za to spotkało? On, Bryan, najpierw powątpiewał w jej prawdomówność, potem wynajął detektywa, a prasa ją obsmarowała.

Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to wyłącznie z miłości, powiedziała Morgan.

Właśnie miłość przed nią ukrywał, nawet wówczas, gdy prosił ją o rękę. Jak chłodno musiały zabrzmieć jego oświadczenia, pomyślał, wsiadając do samochodu i przekręcając kluczyk w stacyjce. Chłodno i konkretnie, jakby proponował fuzję dwóch przedsiębiorstw, a nie małżeństwo.

TLR

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez kilka następnych dni Morgan próbowała nie myśleć o Bryanie i jego propozycji małżeństwa. Małżeństwa z rozsądku. Była na niego wściekła. Była również zła na siebie, bo kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, zaczęła się zastanawiać, czy nie postąpiła głupio. Może należało się zgodzić? Przecież go kochała. Chciała zostać jego żoną.

Żeby zająć czymś głowę i nie wracać do tamtego dnia, skupiła się na przeprowadzce do nowego domu. Właściciele zgodzili się na sumę, jaką im zaoferowała; należało dokończyć sprawy papierkowe, a potem spakować swój dobytek. Nie mogła się doczekać, aby przewieźć z magazynu resztę swoich rzeczy, a także nowe pianino, które niedawno kupiła.

Przed przeprowadzką czekał ją drobny remont, właściwie poprawki kosmetyczne, które nie powinny zająć dużo czasu. Wynajęła już malarza, teraz wybierała kolor farby, mierzyła okna, zamawiała rolety i zasłony; chciała też odnowić drewnianą podłogę w salonie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ona i Brice zamieszkają w nowym domu na początku grudnia.

Siedziała w kuchni z wzornikiem kolorów w ręce, starając się nie myśleć o tym, że Bryan właśnie wylatuje do Londynu. Kiepsko jej to szło. Miała nadzieję, że przynajmniej kiedy wróci na święta, ona zdoła już zapanować nad swoimi emocjami.

Podniosła głowę. Na widok Bryana za drzwiami prowadzącymi na patio była pewna, że wyobraźnia płata jej figla. Po chwili rozległo się głośnie pukanie.

- Co tu robisz? - spytała, spoglądając na zegarek. - Za niecałe trzy godziny odlatuje twój samolot. Nie powinieneś być w drodze na lotnisko?

- Powinienem - przyznał. - Ale musiałem się z tobą zobaczyć.

Serce znów zabiło jej szybciej. Powiedz mu, żeby dał ci święty spokój, rozkazała głowa. Nogi były głuche na rozkazy. Cofnąwszy się, zaprosiła Bryana do środka. Bądź co bądź jest wujem Brice'a.

- No dobrze, a poza tym co cię sprowadza? - Pogratulowała sobie w duchu swojego neutralnego tonu. Wprawdzie dłonie miała wilgotne, za to głos spokojny. Ależ jest świetną aktorką.

- Pewna niedokończona sprawa, którą musimy omówić.
- Zdawało mi się, że tamtego wieczoru omówiliśmy wszystko.
- I tak, i nie. Chciałbym cię przeprosić.
- W porządku. - Skrzyżowała ręce na piersi.

Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze.

Był wyraźnie spięty.

- Psiakość, nie jestem w tym dobry.
- W czym? - spytała autentycznie zaciekawiona.
- W mówieniu. To znaczy na zebraniach doskonale sobie radzę, wcześniej się przygotowuję, szykuję sobie ściagi, ale kiedy mam mówić z głowy albo - odchrząknął - albo z serca, wtedy... wtedy czuję się jak pierwszoklasista.

Uniosła brwi.

- Nie będę cię oceniać ani stawiać stopni. Przyrzekam.
- No dobrze. Tamtego wieczoru wiedziałem, czego chcę, ale nie umiałem się właściwie wysłowić. W sumie odniosłaś wrażenie, że pragnę zaopiekować się tobą i Brice'em.

- A nie chcesz?

- Nie. Tak. Oczywiście, że chcę. Ale nie dlatego... - Zaklął cicho, po czym sięgnął po wzornik kolorów. - Chcę się z tobą ożenić, Morgan, bo nie chcę wracać do swojego beżowego apartamentu. Całe moje życie jest beżowe. Pragnę dodać mu barw. I nie mów, że zamiast żony wystarczy mi dekorator wnętrz.

Otworzyła usta, ale dał ręką znać, żeby mu nie przerywała.

- Chciałem powiedzieć, że czuję się bardzo samotny. - Zacisnął na moment powieki. - Tylko błagam, nie myśl, że jestem zdesperowany i na gwałt szukam towarzyszkę życia. Bo tak nie jest. Owszem, czuję się samotny i chcę dzielić z kimś życie. Ale nie z byle kim. Z tobą.

Znów nie dał jej dojść do słowa.

- Chryste, zamiast cię oczarować, robię z siebie idiotę. Morgan... jesteś mi potrzebna jak powietrze. Nie chcę cię stracić. Kocham cię. I Brice'a. Chcę, żebyśmy byli prawdziwą rodziną.

Przytknęła rękę do ust, próbując powstrzymać szloch i nieświadomie zasłaniając uśmiech. Bryan ją kocha! Słyszała w jego głosie szczerą i żar.

- Nic nie powiesz? - zapytał.

Podeszła do niego. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, nie sprawiał wrażenia człowieka władczego i pewnego siebie. Patrzył na nią wystraszony. Może dlatego tak długo nie była w stanie wydobyć z siebie słowa...

- Nic? - powtórzył; wyglądał jak skazaniec czekający na ogłoszenie wyroku.

Postanowiła skrócić jego cierpienie.

- Powiem ci tylko jedno. - Wspiął się na palce, zarzuciła mu ręce na szyję i z nim ich usta się zetknęły, wyszeptała: - Musimy zwołać kolejną konferencję prasową.



TLR